

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



BRONISŁAWA OSTROWSKA

BIAŁA GODZINA

WYBÓR POEZJI

OPALE (1902)
POEZJE (1905)
Z TEKI POŚMIERTNEJ (1902–1909)

B O G D A J E M...

Bogdajem rosła jako krzaki głógów
W słonecznym złocie
Albo wykwitła wśród pustych rozłogów
Jako stokrocie.

Bogdajem była jako brzoza biała
Liście rozwiała
Lub pokraśniała wśród leśnej gęstwiny
Jako kaliny.

Bogdajem była dziewczanną tą złotą,
Słońca pieszczotą,
Albo wyrosła jak kwiecie kąkolu
We szczerym polu.

OTWÓRZ, JANKU!

Po szerokim jasnym niebie
Wiatr poranny mgły przegania;
I sny moje, sny kochania,
Lecą z wiatrem w dal – do ciebie!

Jak motyli rój skrzydlaty
Przeleciały bór daleki,
Przeleciały góry, rzeki,
Zapukały do twojej chaty:

Otwórz, Janku, drzwi dębowe,
Otwórz chatę twoją,
Sny kochania, sny tęczowe,
Ponad chatą twą się roją!

Lśnią w złocistym słońca pyle
Niby łzami, niby rosą,
I kochania tyle! tyle!
Do twojej cichej chaty niosą!

Otwórz, Janku, wpuść tych gości,
Otwórz chatę twą odludną –
One niosą ci baśń cudną,
Rusałczaną baśń miłości!

Z tymi gośćmi idzie słońce,
Idzie wiosna w czeremch wianku,
Idzie życie bujne, wrzące,

Idzie miłość. Otwórz, Janku!

MENUET

„Margrabino, więc zawarty pakt?”
„Mości księżę...” Piękna margrabina
Pod wytworny menueta takt
W wdzięcznym dygu przed księciem się zgina.

W krąg jej główki białe loki drżą,
Drobna rączka skubie rękawiczki,
Pod wachlarza leciutkiego mgłą
Różem kwitną śnieżyste policzki.

„Margrabino – pokochałem kwiat!”
„Mości księżę, to miłość motyla...”
Lekko szemrzą barwne zwoje szat,
Wabny uśmiech koral ust rozchyła.

„Czasem motyl od rozkoszy mrze
U różanej kochanki kielicha...”
„Motyl? – buja po niebieskim tle,
A kwiat po nim z tęsknoty usycha.”

Żarem płonie rozmarzona skroń,
Zdradny taniec kołysze i wabi –
Heliotropu unosi się woń
Z szeleszczących w przelocie jedwabi...

Pod wytworny menueta takt
Na zakręcie dłoń się z dłonią wiąże...
„Margrabino, więc zawarty pakt?”
„Pakt motyla z różą, mości księżę?”

ALEJĄ BZÓW

Kiedy niebo lazuruowe
Kryształową świeci głębią,
Tam, gdzie bujne bzy liliowe
Niby sina mgła się kłębią,
Chciałabym ja iść...

Szłabym w słońca złotej toni,
W złotych pyłów zawierusze,
Słuchająca bzowej woni,

W bżów patrząca pióropusze,
W ich skłębioną kiść...

Wtedy mnie by się wydało,
Że słonecznych skier zawieje
Pochłonęły mnie już całą!
Że ja w bezmiar olbrzymiej
Pozłocistą mgłą,

Że już krążę w złotym pyle,
Że się wtapiam w woń i słońce,
Ginąc w woni jak motyle
Oszalałe i mdlejące,
Co z rozkoszy mrą...

ŚNIENIE

Czyś topił kiedy oczy w lazurowym niebie,
Gdy czar miesięczny płynie pośród pól
gwiaździstych?
Czy wielką falą blasku szło z błękitu w ciebie
Powietrzne zadumanie owych sfer przezczystych?

Czy znasz ten wielki smutek, co wieje przestworzem?
Czy błękit skrył ci kiedy przed oczyma ziemię? –
Tak umęczony żuraw w przelocie nad morzem,
Na wietrze kładąc skrzydła, na chwilę zadrzemie.

ŚMIERĆ

Na jesiennych pól ugorze
Nocleżnicy ogień palą;
Czołgający płomyk rudy,
W jakiejś bruździe przyczajony,
W mgłach rozgorzeć się nie może,
Dymi jeno przez zagony;
A dym w rowach się przyczaja,
Na stwardniałe wpełza grudy
I znów schodzi w szpary bruźd...
Aż gdzieś w dali u rozstaja
Wsiąka w ciemność szarą falą...

A po bruźdach czarnych wszierz,
Przez ugorny drętwy ścierz
Śmierć wędruje do ogniska;

W długi całun szarych chust
Zakutała sobie głowę
I wędruje, precz wędruje...
Odżegnany dech tęsknicy
Po ugorach w ślad się snuje...
Czasem płomień mocniej błyska...
Cicho siedzą nocleżnicy. –
Śmierć wędruje po ugorze

Zakutana w szare chusty,
Z wędrowniczym kijem w dłoni,
A zdrętwiały ugor pusty,
Gdzie się wzdyma mgła jak morze -
Ręce bruzd wyciąga do Niej.

PRZED MADONNĄ

Jest jeden cichy wiejski kościółek ustronny,
Gdzie w ołtarzu Maryja w złocistej sukience
Skrzyżowała na piersi swoje ciemne ręce,
Zasłuchana w hymn ciszy wiecznie jednotonny...

Tam na ołtarzu stoi bez i jaśmin wonny,
Świetlane smugi kurzów kłębią się w jutrzence,
Przez okna napływają rozgwary ptaszęce,
A blask plecie słoneczną koronę Madonny.

Tam razem z gołębiami pod kościelnym dachem
Modlitwy dusz zmęczonych sennie się kołyszą,
Upajają się białych jaśminów zapachem,

Drżą owiane blaskami wielkimi i ciszą
I, jak gołębie w locie zmartwiałe przestrachem,
Przed obrazem Maryi bezszelestne wiszą.

BAŚŃ O TRZECH SIOSTRACH

Posłał siostry trzy pan w babie lato na łąn:
Która nici najwięcej umota,
Tej dostanie się korona złota –
Tej dostanie się korona złota.

Strój se godny ma zwić ta, co panią chce być:
Niechaj szatę z pajęczyn uszyje,
Jakiej oko nie znało niczyje –

Jakiej oko nie znało niczyje...

A jesienny był czas, i z wiatrami nad las,
By ze szatek anielskich len biały,
Pajęczyny we słońcu latały –
Pajęczyny we słońcu latały.

A świt modry już wszedł nad polami w mgle het,
Trzody z rykiem ciągnęły pod zorzę,
I żurawie leciały za morze –
I żurawie leciały za morze.

Więc najstarsza z trzech dziew siadła w cieniu śród
[drzew,

Pajęczyny zbierała te siwe,
Co upadły na łąkę, na niwę –
Co upadły na łąkę, na niwę.

A weśrednia w ten czas szła na wygon pod las;
Obaczyła z fujarką pastucha,
Więc przysiadła opodal a słucha –
Więc przysiadła opodal a słucha.

A najmłodsza szła w krąg wśród ugorów i łąk;
Obaczyła sznur długi żurawi,
Jak we słońcu jesiennym się pławi –
Jak we słońcu jesiennym się pławi.

Za ptakami tak szła po ugorach by mgła,
Aż zjaśniała po sobie od słońca,
Za ptakami na wyraj lecąca –
Za ptakami na wyraj lecąca.

A gdy skończył się dzień i na pola zszedł cień,
Powracały trzy siostry do chaty,
Że to jedzie królewicz bogaty –
Że to jedzie królewicz bogaty.

Starsza przodem w dom szła; kłębek nici już ma,
Więc po drodze się cieszy i chlubi,
Że ją właśnie królewicz poślubi –
Że ją właśnie królewicz poślubi.

I weśrednia szła z nią; oczy żarem jej skrzą,
Nie zbierała z pastuchem pajęczyn,
Myśli jeno o dniu swych zaręczyn –
Myśli jeno o dniu swych zaręczyn.

A najmłodszej to w krąg u koralu i wstąg
Nitki lśnią jak haft słońca bogaty;
I tak wraca świecąca do chaty –
I tak wraca świecąca do chaty.

Pan przyjechał na dwór do rodziców trzech cór,
A że młodsza najpiękniej rozkwita,
Więc się do niej obraca i pyta –
Więc się do niej obraca i pyta:

„Takaś piękna jak cud! słońcem świecisz od wrót!
Czyś pajęczyn zebrała już wiele?
Czy nam, kraśna, zagrają w kościele –
Czy nam, kraśna, zagrają w kościele?”

Lecz ta oczy w dal śle, ani słuchać go chce:
„Miałam z bliska to słońce złoczone,
Schowaj, panie, twą złotą koronę –
Schowaj, panie, twą złotą koronę!”

Więc przed średnią pan wstał, złoty pierścień jej dał:
„Ty mi będziesz kochanką i żoną,
Kraśna dziewczko, już tak ci sądzono –
Kraśna dziewczko, już tak ci sądzono.”

Lecz ta, płonąć by mak, odpowiada mu tak:
„Niechaj siostra ci żoną ostanie,
Ja innego miłuję już, panie –
Ja innego miłuję już, panie.

Chcę w chałupie z nim żyć, z ust mu słodkość chcę pić:
On mi śpiewa za wsią na wygonie
Pasający tam bydło a konie –
Pasający tam bydło a konie...”

Pan odwrócił swój wzrok i ku starszej szedł krok,
Lecz miał lica okrutnie zsepione,
Bo nie była urodna na żonę –
Bo nie była urodna na żonę.

Uśmiechnęła się doń i podała mu dłoń,
Kłębek ręką trzymała już drugą.
Żyli z sobą szczęśliwie i długo –
Żyli z sobą szczęśliwie i długo.

Z PANOPTICUM

W bambusowym chińskim kiosku,
Co barwami oczy wabi,
Siedzi strojna w zwój jedwabi
Uśmiechnięta Chinka z wosku.

Skośnym okiem równo mruga
Krzywiąc szyję swą woskową,
A na drążku nad jej głową
Sennie buja się papuga.

Lalka trzyma wachlarz paw
I woskowym swym urokiem
Przechodzące tłumy bawi,

A papuga strosząc skrzydła
Osowiałym patrzy okiem
W egzotyczne malowidła.

ŚWIATY

Parno. Ze stawu idzie rehot żabi
I pszczoły brzęczą z pobliskiej pasieki.
Na łące żółkłej od słonecznej spieki
Rój kraśnych dziewczek świeże siano grabi.

Od pola miodem pachnie złoty łubin;
I chór koników cichym szmerem gędzie
Na uroczystym radosnym obrzędzie
Ziemi i słońca ognistych zaślubin.

W powietrzu dyszy woń jak w kwietnej lipie!
A z niewidzialnych klepsydr opył złoty
W jasnym błękitcie sypie się i sypie...

Gwiazdy wygasłe w błękitnej roztoczy
Ku ziemi drżącej z słonecznej pieszczoty
Martwe i zimne obracają oczy.

Ze zbioru POEZJE

ŁÓDŹ MOJA

Dr. Edwardowi Schuttowi

Łódź moja tak spokojnie fal błękity porze
Kołysząc lasów brzeżnych topielne odbicia,
Że – płynąc – mam pod sobą odkłętą w jeziorze
Całą królewską piękność ginącego życia.

Jarzębiny i kalin gąszcz o krwawych gronach
Purpurowe jagody otrząsa w sitowie;
Kraski modre migają w złotych drzew koronach
Osypując skrzydłami więdnące listowie.

W górze południe smuży pyłami jasnemi
Zatapiając świat cały słońca mgłą rozlewną,
A ja w naturze wkoło czuję duszę ziemi
Nieznana i tęskniącą, i ludzkiej pokrewną.

Czuję ją w zwiędłych liści gorejącym złocie,
W mrących kwiatach nadbrzeżnych wpatrzonych
[w błękity,
W każdej chmurze wędrowniej w jeziorze odbitej,
W każdym echu gasnącym, w każdym fal powrocie.

I ukojenie wielkie płynie mi od świata,
Co zamiera tak piękny w swej weselnej szacie,
Że mi się w jeden pierścień ciąg stworzenia spleta,
I chcę do drzew i wiatrów, i chmur wołać: „Bracie!”

A śmierć zda mi się cieniem, który ciska życie,
Jak wielki ptak lecący w słoneczne topiele,
Który skrzydłem pragnącym szybując w błękitcie
Czarne wędrowne widmo na niziny ściele.

Że dzieci, co się bawią na nagrzanym piasku,
Widząc żałobnych skrzydeł wędrujące żagle
W pogodnego południa płomienistym blasku
Przeżalone zastygną i przycichną nagle.

A ptak z oczu im niknie, stopiony w oddali,
I tam, w bezmiarze światła lśniąc, jak gwiazda
[złota
Kładzie skrzydła zmęczone na powietrznej fali

I kąpie się w słonecznej krynicy żywota...

(z cyklu *Łódź moja*)

CUD-KRÓLEWNA

Cud-królowna złotowłosa,
piękna jak zorza,
Siedzi w słońcu na tarasach
nad brzegiem morza.

Włosów swoich zwój grający,
warkocz harfiany,
Opuściła na topiele,
na srebrne piany.

I tak siedzi zasłuchana
w słoneczną ciszę,
A warkocze jej grające
fala kołysze.

Modre oczy cud-królowny,
dwa boże gońce,
Wyleciały na niebiosa,
na złote słońce!

Wyleciały jak orlice
śmiały mi loty,
Utonęły w tarczy słońca,
w jasności złotej!

Biały żagiel – skrzydło śnieżne •
błysnął w oddali;
Łódź rybacza mknęła chyżo
po modrej fali.

Szybowwała z ciepłym wiatrem
jak lotna mewa
Do królowny, której warkocz
na fali śpiewa.

I zapytał młody rybak
ze swojej łodzi:
„Ktoś ty, pani, krasą lica
w słońca powodzi?”

Ktoś ty, pani, krasą lica

podobna róży,
Która patrząc w oko słońca
płatków nie mruży?

Otom rozwiął na wsze wiatry
żagle tęskniące,
Szukający oczu jasnych
wpatrzonych w słońce!

Umęczone moje żagle
i serce moje...
Zaż przy twoich stopach, pani,
tęskność ukoję?"

Cud-królowna z swego brzegu
odrzekła smutnie,
A głos dzwonił nad wodami
jak złote lutnie;

„Nie rozumiem ciebie, panie,
ciemne twe słowa!
Noc wieczysta lice twoje
przede mną chowa.

Mrok tajemnic mię otacza,
groza bez końca:
Tęsknię jeno a wyglądam –
nie widzę słońca!

Ślepe oczy ślę na błękit
skargą daremną,
A szumiące wielkie morze
płacze nade mną."

I powracał na głębiny
żagiel – ptak biały
A warkocze cud-królowny
na falach grały.

(z cyklu *Cud-królowna*)

JUR

Na tle krwawiącym zachodniej pożogi,
Mając za sobą łąn zbożowy senny,
Stoi wśród polnej opuszczonej drogi
Na wpół zwalony święty Jur kamienny.

W szerniałej, starej, mchem zarosłej zbroi,
Z obłamkiem dłoni sterczącej bezwładnie,
Ofiarnym widmem w krwawej łunie stoi,
Gdy w krąg po łańcach zmierzchu śnieć się kładnie.

W zmierzchu patrzy święty pustymi oczyma
I utraconą swą ręką zwycięską
Zda się powałą zórz płonących trzyma,
Broniąc okólne wsie przed ognia klęską.

(z cyklu *Arabeski*)

PAJĄK

Suchotnicze blade ręce
 Na błękitnym tle posłania;
 Długie, śpiewne, rozręsknione
W zastygania cichej męce.

 Kwiaty jakieś zapomniane
Cicho wędną w swym wazonie
Rozsiewając wkoło wonie
 Melancholii i kadzidła...

Poprzez okno sionce złote
 Wpada pylną zawieruchą
 I na bladym, chłodnym czole
Kładnie lekką swą pieśczołę.

 A w słoneczną kurzu smugę
Właśnie spuścił się z powały
Krotochwilny pająk mały –
 I na przędzy swej się buja...

(z cyklu *Arabeski*)

UPIÓR

Le revenant est seul...
(Hello)

Patrzą na ciebie okna domu twego,
Patrzą jak oczy rozgorzałe w cieniu.
Żółte promienie na sad od nich biega...
Ledwie dostrzegasz w źrenic obramieniu

Dwie pochylone sylwety kobiece:
Ktoś w głębi domu gra... płonące świece...

Gra. Słyszysz skrzypce? Muzyka tęskniąca
Szlocha i z szmerem fontanny się łączy;
Woń nocnych kwiatów falami roztrąca,
A w twoją duszę dziwną słodycz sączy.
Dobrze ci: smętna skrzypcowa muzyka
Wiąże cię z życiem i w wieczność przenika.

A oczy domu wciąż patrzą na ciebie:
Życie się patrzy z tych wślepionych oczu!
Czuwa – nie wrócisz! Wiatr sadem kolebie,
Puszczyc niekiedy zahuka w pomroczu.
I szum – jak gdyby spod gęstych konarów
Wracał świat dziecka odżegnanym czarów.

Słysz! struna pękła. Psa urwane wycie...
Cicho... ktoś przeszedł. Okna z wolna gasną,
Zasnęło czujne pogwałcone życie,
Księżyc zalewa ogród falą jasną.
Wróć! nie zaskrzypi próg... nie spotkasz ludzi...
Skrzypce nie westchną... życie się nie zbudzi.

Wróć! Widzisz stare, znajome pokoje!
Zegar uderzył; raz! – i znów, jak w trumnie.
Patrz – biurko – noce nieprzespane twoje...
Nowe jest tylko, widzisz, na kolumnie
Twoje popiersie rzeźbione w marmurze;
Stoi w księżycu białe, zimne, duże...

Twoja twarz. Stajesz i patrzysz w zadumie
Długo na uśmiech marmurowej twarzy,
Twój uśmiech. Wraca w dawnych wspomnień tłumie...
Ostatni – pomnisz? A z nocnych witraży
Pada na marmur miesięczna poświata,
Że i on zda się być nie z tego świata.

Patrzycie w siebie długo nieskończenie
Z jednym, choć różnej tęsknoty uśmiechem...
W powietrzu słysząc prawie to spojrzenie...
Słyszysz! krzyżuje się – przecucie – z echem –
Dwie złudy. W cichej miesięcznej jasności
Patrzycie w siebie – w głąb nieskończoności.

(z cyklu *Wiersze różne*)

RUINY

P. Marii Ochenkowskiej

Lipcowego południa polne zamyślenie:
Powietrze szafirowe, drgające spiekotą,
Po polach żółciejące bujnych zbóż kiścienie
I łubinów rozkwitłych gorejące złoto.

Od różowych koniczyn wiatry idą słodkie,
W pszczelnych migotach brzęczą białe pasy gryki,
Słania się łańcem szumnym kłosie żyta wiotkie
Wśród bezustannej, dzwonnej, świerszczowej
[muzyki.

Zda się jakieś słoneczne, płomieniste święto
Twórczym weselem ziemię kwitnącą okala.
Barwne przydroża dyszą tymianem i miętą,
Po łąkach traw nagrzanym przelewa się fala.

A tam wysoko, nad kwitnącą ziemią,
Białe ruiny cicho w słońcu drzemią
I niby żagle śnieżne i tęskniące
Świecą, wieczyście zapatrzone w słońce.

Odwieczny klasztor, co się wali w gruz:
Cele na błękit ruiną rozwarte;
Widma, wdrzewione w pnie płaczących brzoź,
Nad mogiłami odprawują wartę...

I cicha wielkość przemienionych dni
Na rudych szczyrach i dziewannach śni,
I głowy świętych stroi kurzów tęczą
W chórze, gdzie echa jak organy jęczą.

Pośród zwałonych długich korytarzy,
Gdzie się sznur mniszek w cieniu murów snuł
Jak fresk tajemny zaświatowych twarzy,
Dziś buja gęstwa naniesionych ziół.

Śród popękanych, sypiących się głazów,
Syczących pieśnią modlitewnych ech –
Płynie upojny południowy dech
Piołunów gorzkich, tymianu i ślazów.

A słońce z góry jak monstrancja złota
W zbitych witrażach tęczami migota.

(z cyklu *Wiersze różne*)

«DŁUGI PRZERWANY PEREŁ SZNUR»

W albumie p. M. K.

Nie wiem, czy piję złote wino,
Czy wiosennego kwiecica pył?
Czuję na oczach bajkę siłą...
Wspomnienia jakieś w górze płyną,
Jakby girlandę z duchów wił.

Jak mocno pachną krwawe róże!
Płomień pochodni w dymach drży...
Łuny się kładą na marmurze
I łzy z pochodni cieką duże –
Płonące krwawo smolne łzy.

Na biały marmur sypko spływa
Długi przerwany pereł sznur...
Snują się marzeń mdłe przedziwa
I owych pereł struga żywa
Echowym pieśniom daje wtór...

Cienie się włóczą w kątach sali
Pomiędzy kolumn smukły las,
W kielichach wino krwią się pali
I idzie stary sen z oddali –
I siada blady... obok nas...

Z wolna mi w piersi serce chłodnie,
Kiedy mu patrzę twarzą w twarz.,
Księżyc nad morzem lśni pogodnie
I perły płaczą, i pochodnie,
I róże pachną...

(z cyklu *Wiersze różne*)

WSCHÓD KSIĘŻYCA

Żeńcy idą od pola wieczorem,
Z głośnym śpiewem wędrują w gromadzie
I śpiewając przystają przed dworem,
Co zatonał cały w winogradzie.

Świerszcze strzygą i żaby rechocą,
Tarcz miesiąca powstaje w czerwieni,
Ogród mocniej zapachniał przed nocą
Wonią wczesnej pogodnej jesieni.

Ten chór nocy łagodnie daleki
Duszę dziwną ukaja harmonią;
Jakby dotąd tęskniła przez wieki
Za tą pieśnią, księżycem i wonią...

Jakby teraz zebrała swe plony
I wracała w dom by przodownica.
Śni sen szczęścia, swój sen niewyśniony
Popod wschodem krwawego księżyca.

(z cyklu *Wiersze różne*)

Z TEKI POŚMIERTNEJ

ŚPIEWANKI

I

Zbudowałam jasną chatę
mej miłości,
zaprosiłam sny skrzydlate
do nas w gości.
Wścież otwarałam okien troje:
a przychodźcież, goście moje!

Jednym oknem słońce weszło:
żar się spłonił.
Drugim oknem księżyc wpłynął,
twarz przesłonił.
Trzecim oknem wichur wleciał;
precz rozgonił.

IV

Oj, jedzie do mnie, jedzie
Z swych dalekich wędrowań –
Jeno w drodze konik mu się powinął..
Oj, jedzie do mnie, jedzie,
Chciwy lubych całowań –
Jeno pierścień zalubny mu zginął...

Oj, zjedzie do mnie, zjedzie
O tej wieczornej zorzy
W umajone tatarakiem pokoje.

Oj, zjedzie do mnie, zjedzie,
Miłość wrota otworzy –

I skona serce moje...

V

Wieczór dobry, wieczór szczodry
Zachodową idzie smugą –
Aż ku jasnej nocy modrej
Za lewady srebrną strugą...
Aż na moście, na kolebie,
Zanim doszedł drogi końca,
Spojrzał jeszcze poza siebie –
Pożałował, widno, słońca.
Zza niebieskich wyrzał pował,
Nim utonął w nocy modrej,
Widno – życia pożałował
Wieczór dobry, wieczór szczodry...

VII

Wianki moje, wianki – perłami sadzone!
Trza by mi was płakać – jak matki rodzonej,
Trza by po was krzyżem leżeć mi w kościele,
Zażegnwać trza by wasze bujne ziele –
Wianki moje!

Pletłam ja was nocką nad wodą stojącą,
Łabędź tam przepływał bielszy od miesiąca.
Łabędziu, łabędziu, czarowniku biały!

Wianki mi trójzielne w wodę pospadały –
Wianki moje!

Na głąb skrzydła rozpuść ni to srebrne sieci,
Wyłów wianek złoty, co za wodą leci...
Oj, gońże, łabędziu, tę bieżącą wodę!
Oj, gońże, łabędziu, moje lata młode –
Wianki moje!

Nie dogonić wianka, co za wodą płynie,
Nie pocieszyć serca, co z miłości ginie!
Kwitłam ci jak róża, wędnę jak lilija...
Wyjdę na poletko, wicher mną powija –
Wianki moje!

VIII

A wyrzycieź, pacholice,
Kędy huka róg!
Czy to jedzie mój kochanek

Z swych dalekich dróg?

A już jedzie, już ci wjeżdża
W zamkowe dźwierze –
Łyszczą mu się spod szyszaka
Złote kędziorze.

Toż przewińcie, pacholice,
Kobierzec przez próg,
Żeby sobie mój kochanek
Nie zbrukał ostróg.

Podajcież mu, pacholice,
Roztruchan drogi –
Przednim winem niech go raczą,
Gdy wejdzie w progi.

A witajcież, gospodynie,
Miłowany mój!
Uznojone wasze czoło,
Rycerzowy strój.

A witajcież, gospodynie,
A spocznijcie wraz!
Krasnym winem was napoję,
Przyhołubię was.

Wziął ci puchar w ręce obie
Od służebnych dziew –
Na ziem wino się polało,
Czerwone by krew.

Czegoś smutny, gospodynie,
Cóż ci blednie twarz?
Krew na ręce ci upadła,
Krwawe ręce masz!

CHUSTY OFIARNE (1910)
ANIOŁOM DŹWIĘKU (1913)
Z TEKI POŚMIERTNEJ (1910–1913)

Ze zbioru CHUSTY OFIARNE

PRZEDWIECZERZ

Nieruchome sosny stoją
w przedwieczornej nieba głuszy,
We wilgotnym zmierzchu ciche –
jako sen.

Haft żałobny igieł smętnych
na srebrzystych tłach się puszy,
Lelek przemknął bezszelestnie –
jako sen.

Od liliowych land wrzosowych
płynie późny flet pastuszy
I przepada echem w dali –
jako sen.

W srebrnym niebie gwiazda błysła,
jakiś szloch się w piersi kruszy:
Gwiazda moja, zapomniana –
jako sen.

Noc swe wielkie skrzydła czarne
kładnie lekko na mej duszy,
Dobra śmierć się zbliża w mroku –
jako sen.

(z cyklu *We mgle*)

* * *

Tych, co na pięknym kłamstwie sparli życia chwałę,
Rozgrzesz, o śmierci,

I daj im wzrok daleki i wejrzenie śmiałe
Z nadbrzeżnej perci,

Skąd czekają twej łodzi nad głębią wieczystą
Z siecią gwiazdzistą...

(z cyklu *We mgle*)

MACIERZYŃSTWO

* * *

O boskie okrucieństwo nowego żywota!
Blady kwiatku, wykwitły z mogiły olbrzyma!
Siło rozwoju ziarna, której nic nie wstrzyma!
Plonem dosytnych łąków tajemnico złota!

Dziecko! Niewiedna w łonie bezpłodnym tęsknota:
Niemoc bruzd rozoranych, gdy skuwa je zima;
Ta niemoc, co nad siebie wybiega oczyma,
Instynkt larwy motylej, gdy w przędzę się mota.

Żądza samozatrąty w wielkiej życia pieśni!
Nadzieja, co o śmierci w imię jutra roi
Jako kwiecie więdnące owocnej czereśni!

Sen kniei padłej, która sił ostatkiem poi
Młody gaj, wybująy z jej próchna i pleśni,
I słucha w jego szumie końca pieśni swojej.

I

Czasem wróżby żywota dla ciebie
Szukam wkoło i nękam się trwogą:
Że me oczy na grozę paść mogą
I że szczęście twe sama pogrzebię.

Czasem boję się łuny na niebie,
Gdy zachodnią się pali pożogą...
Czasem boję się czerwia pod nogą
I ziół zwiędłych, gdy wiatr je kolebie.

Szukać pragnę krynicy zakłętej,
By, jak mistrz w dzieła złotą pożogę,
W ciebie zakląć wszech światów ponęty.

I śmiertelny ból czuję, i trwozę,
Że przed tobą, coś we mnie poczęty,
Ran swych własnych utaić nie mogę.

II

Lecz ta męka mym szczęściem jedynem,
Że w mym dziecku powstanie od nowa
Cała własnej mej duszy osnowa –

I ostatek, gdy ja już przeminę.

Zmartwychwstanie mój sen – moim synem!
Baśń bezsennych mych nocy tęczowa,
Która w złoty dzwon mocy przekowa
Ból mój wszelki, milczenie i winę.

Patrzę w wielkie rozwarte źrenice
Mego dziecka, jak topią się we mnie,
Śniąc, że duszy nić własnej uchwyćę...

I lęk nagły pograża mię w ciemnie:
Bowiem widzę w nich już – tajemnicę,
Którą przejrzeć pożadam daremnie.

III

Nowy żywot niech nową pieśń śpiewa!
Odlatują pszczoł letnich wyroje,
Kwietnych puchów kołyszą się zwoje:
Jak najdalej los siewy zasiewa.

Słabość wiąże owoce do drzewa.
Nową pieśnią mi bądź, dziecko moje!
Już się twoich odlotów nie boję,
Choć słoneczna cię porwie ulewa.

Otom w duchu swym siebie straciła:
I bezmierniem tą stratą bogata,
Bowiem wszystkim mię czyni jej siła.

Jestem twoja tęsknota skrzydlata,
Jestem żywot i sen, i mogiła,
I ten liść, co pod nogi ci złata...

IV

Czyż nie dosyć, że krew ze krwi mojej?
Czyż nie dosyć, że kość z mojej kości,
Ciało z ciała i miłość z miłości?
Czyż tej jednej za mało ostoi?

Oto z mego żywota podwoi
Wzniosłam zamek zwycięskiej wieczności,
Lecz już nowy sen w dziele mym gości,
Już nie moją potęgą gmach stoi.

Przeminęłam jak skarga daleka
Fali mrącej wśród rzecznych komyszy;

Rzeka życia ucieka... ucieka...

Cóż, że morze jej skarg nie usłyszysz?
Morzem w ujściu swym staje się rzeka.
Ciszej, duszo... ciszej... ciszej... ciszej...

(z cyklu *Chusty ofiarne*)

DZIECIĘCTWO

Pamiętam cichą głowę o włosach jak len
I blade chabry oczu zza rzęs – ździebeł słomy,
I tych palców śnieżystych drobny splot ruchomy,
I ten głos oddalony i śpiewny – jak sen.

O latarnio magiczna ukochanych scen!
O wy w sadach tonące wiejskie strzeszne domy!
Obrazie jak mgła lotny, jak tęcza znikomy,
Omanie zatracony w gorzkich dalach, hen!

Jak kwiecie groszku z baśni szeptanej przez ciebie
Ożywa me dzieciństwo i rozchyła pąk,
I niesie mię w pachnącej kwiatowej kolebie

W twoich baśni powrotnych czarodziejski krąg,
Pod puchami obłoków na pogodnym niebie,
W zmartwychwstałej najśodszej pieszczocie twych rąk.

(z cyklu *Chusty ofiarne*)

TEŚKNOTA

Byłaś jak cień tajemny, wciąż biegnący za mną:
Byłaś na makach polnych krasną strugą krwi,
Byłaś w rosach poranka łąką tęczo kłamną
I szaloną tęsknotą mych młodzińczych dni.

Byłaś w miłości mojej zdradą uśmiechniętą,
Byłaś upojną wonią oszalałych śnień,
Byłaś lubieżnym dreszczem w wzniosłych modłów święto
I beznadziejnym płaczem w pierwszy szczęścia dzień.

A byłaś ponad wszelkie życia miłowanie
I ponad wszelką we mnie moc życiowych wiar,
I za jeden szloch wielki przy twoim kolanie,

Za jeden słowa twego święty, żywy dar
Dałabym życia mego nadaremny gwar!
– Za to, co się nie stanie – nie stanie – nie stanie –

(z cyklu *Chusty ofiarne*)

CHUSTY OFIARNE

Na rozdrożnym krzyżu wiszą chusty.
(Jezu gwiazdny, zmiłuj się nad nami!)
Chusty ofiarne, lniane,
Czekające chusty Weroniki,
Całowane gorącymi usty,
Zawieszane na twój czarny krzyż,
Ex voto.

Duszo sieroto,
Śniesz?

Noc taka cicha, cicha,
Strzyże świerszczowy chór,
Łąka wilgocią dycha
I duma czarny bór
W dali...

Jedyna kędyś w chmurach się pali
Gwiazda,
Po rowach krążą świetliki
I puszczyk leci do gniazda...
– Śniesz?

Twojeż to chusty?
Przyłgnęłaś do nich usta

I łowisz okiem rozpaczy
Przelotne blaski,
Jakie rzuca na nie księżyc zza chmur.
– Czekasz łaski?

Czekasz tego, co przyjdzie i przebaczy,
I nie złamie łamiącej się trzciny,
Nie odtrąci rozpaczego ludu,
A oblicze swojej zbawczej męki
Na twojej chuście złoży?

Czekasz błogosławiącej ręki,

–Przed którą duch się korzy –
– Żebrzesz cudu?

Było ci, duszo, iść
Jak Ruth w pogodny dzień
Na łąk
I żąć,
I zbierać plonów pokłosie.
Było ci konew wziąć
W pogodne rano
I czerpać wodę źródlaną
Z tysiącem słonecznych drzeń!

A tedy po rannej rosie
Szedłby ku tobie Pan
I dłoń położył na czole
Jasną...
– A ty? a ty?

Nie było ciebie stać
Na Bożej Zgody wolę
I cichą gwiazdę własną,

Świecąca spoza chmur
Na czekającą brać –
Nie było ciebie, duszo, na czyn królewski stać.

Ani na oną moc,
By w życia gorące południe
Zniżyć w własnej doli głąb
Jak w mroczną studnię,
Której otchłanny ziąb
Straszy dzieci ciągnące wiadra sznur.

Godziny twego żywota
Przepływały jako chmury ponad tobą
I nie uderzyły w grom.
Zmurszały szczęścia dom
Wieje próchna świecąca żalobą,
Zżęta przez innych niwa twoja złota,
Z wyschłej źrenicy studni wyrzał szary cień
– Ślepotą –

Minął twój dzień
I oto mija noc.

– O śnij:
Może polami pustemi,
Kędy prężą się bruzdy na kształt żmij,

W pomroce
Szedł twej tęsknoty Bóg
I krzyż swój ciężki włókł
Po ziemi...
Może ci rzucił miłosierdzie cudu,
A ty go nie dojrzałaś w ciemności i we łzach.
– Słyszysz, jak ci serce łopoce?

A może krzyż rozdroża
Pod twoich łez ulewą
I znojem trudu
Wystrzelił w czarodziejskie, zaświatowe drzewo
Aż pod błękitów dach...
Może tak przepoiła go twych bólów krew,
Że rozpali go w Mocy gorejący krzew,
Wstająca zorza...
A on rozpostrze opiekuńcze dłonie
W dal,
Ponad ugór pusty,
Ponad drogi rozdrożne i tułacze,
Nad ludzki żal
I rozpacze,
I łódź żywota twego, co w bezmocy tonie,
Świecąca żaglem ofiarniczej chusty.

Cyt...
Kędyś w bezmiernej oddali się czyni
Świt.
Topole, jak kolumny strzaskanej świątyni,
Obrzeżyły twoją drogę tułaczą:
Słysz, w liściach wiatr łopota,
Drzewa płaczą –
Rosa opada z liści.

Powstaje pożoga złota
Nowego dnia:
Nowy dzień nowym żywotom się iści,
Precz ciebie gna!

Na krwawym tle pożogi,
Spod zwitych chust zawoja
Majaczy

Czarny krzyż:
Oto ofiara twoja,
Pogardzona jako łachman żebraczy.
Jeszcze śnisz?

Idź, idź!

Na twe pokutne, niewolnicze drogi
Idź!
Zawodne gniazdo wić
Pośród płonących strzech,
Po borach szukać ech,
Po bagnach gonić ogniki...
Idź! idź!
Ostaw nietknięte cudem chusty Weroniki,
Nadaremnej ofiary żywota
Zszarzały łąch.

(z cyklu *Chusty ofiarne*)

PRACA

La recolte des larmes...

Na wybrzeżu, gdzie morze wieczną skargą jęczy,
Nad równymi kwadraty śpiącej słonej wody
Snują się szarych ludzi długie korowody
Niby pokutnych cieni orszak potępieńczy.

Czernią się pod zachodu zgasania powolne,
Mijają się, to schodzą, to mijają znowu,
I monotonnym ruchem sennego połowu
Wygarniają z wód tafli białe stożki solne.

Za nimi – złote pola żrałych zbóż się kłonią,
Falują bujnym ziarnem obciążone kłosy;
Za nimi winobrania słycać śmiech stugłósy
I sady dyszą płodu dostalego wonią.

Za nimi – wielkie wozy dążą do zagrody
Po gościńcach dymiących lotną pyłu bielą,
Ciągną z radosnym rykiem wracające trzody
I jako stada ptaków białe wsie się ścielą,

Zasię przed nimi – morza wiekuista głębia
Pod wysokim szafirem swą otchłań rozpienia
I śpiewa pieśń tajemnic i burz, i milczenia –
I snopy gwiazd w głębinie odbija i skłębia.

Wędrowniej mewy skrzydło zaśnieży się czasem
I ostry krzyk zamąci senny szum głębin...
Zachód cicho przygasa rozkrwawionym pasem
I zasnuwa przestwory cichy wieczór siny.

A oni – na zwierciadłach odmierzonej wody,
Obcy życiu, co teraz do snu się układa,
Obcy tajemności głębiny, co w ciszę zapada,
Snują prac swych milczących szare korowody.

Wygarniają z kwadratów biały łańcuch solny,
A gdy chylą się cicho nad łzawe cysterny,
Woda bierze ich obraz i trud ich mozolny
I powtarza: milczący – bolesny – i wierny.

(z cyklu *Chusty ofiarne*)

ZADUMY

BOŻĘ

Żyje w sercu człowieczym jakieś jasne boże,
Co się spod zwału smutków nagle nieraz budzi
I niespodzianie skrzydła rozwija pod zorzę –
Że tedy drobiazg: uśmiech przechodzących ludzi,

Wzrok dziecka, pąk rozkwitły lub przelot motyla
Całe światy radości niewiednie odchyła...

(z cyklu *W samotni*)

* * *

Ileż tęsknoty, światła i lotu się składa
Na drobny wzrost ku słońcu żdźbła łąkowej trawy!
Jakiż wysiłek ziemi skrzydlaty i łzawy
Jest w chmurze, która deszczem znów w jej pierś opada!

Jakaż potęga pragnień i cudu się chowa
W niedołężnej bezmocy człowieczego słowa!

(z cyklu *W samotni*)

* * *

Echa pieśni żywota wieczyście powrotne!
Oto wiosną spod śniegu sasanka się śmieje,
Ronią kwietne czeremchy płatkowe zawieje

I w lipcowych południach śnią róże spiekotne –

Zaś samotną jesienią tęsknota skrzydlata
Z mrących ostów przydrożnych gwiazdami wylata.

(z cyklu *W samotni*)

* * *

Oto w pielgrzymstwie, jak okowny ołów,
Cięży wszelaki skarb siewnego ziarna:
Jest jak nadmierny rybakowi połów,
Gdy otchłań chmura zamroczyła czarna –

Więc trza w tę groźną głąb odrzucać znowu
Zbyt ciężkie skarby szczęsnego połowu.

(z cyklu *W samotni*)

* * *

Odchodzącemu życiu przedśmiertelna spowiedź
Sama w sobie jest łaską, i już obojętną
Na litosnych rozgrzeszeń ostatnią odpowiedź
Czy potępień wieczystych niezmazalne piętno –

Które na skroń, stygnącą w bezpowrotu męce,
Złożyć mają wyrokiem poświęcone ręce.

(z cyklu *W samotni*)

ŚLUBOWANIE

Lnów mych ofiarnych lazurowe fale
Szemrzą mi dziwnie łagodnie i miękko,
Niby daleką matczyną piosenką,
W której się budzą wszystkie zmarłe żale –

Że od pól moich, z błękitnych niw lnianych,
W serce me falą daleką powraca
Cała milcząca zatracona praca
I cała gorycz łez w ten łan splakanych.

Ale już płakać nie będę! nie będę!
Ni wstecz poglądać, ni szukać odpłaty:
Jeno mój zbiorę len i nić wyprzędę,
I tkać zeń będę zgrzebnych płócien szmaty.

A potem bielić na słońcu! na słońcu!
Na skwarnym blasku i w wodzie ze zdroja,
Aż łaską światła spromieni się w końcu
I wybieleje szara praca moja.

A z onych płócien we słońca powodzi,
Z lnów, które wichry mi twoje zasiały,
Uszyję żagiel ostatni mej łodzi –
Żagiel odlotny – biały – biały – biały –

(z cyklu *U brzegu*)

ODDECH MORZA

Szeroki, słony oddech morza,
Mew dzikich krzyki nad wodami...
Serce się z piersi rwie w bezdroża:
Serce, jak skrzydło, w piersiach gra mi!

Mew dzikich krzyki nad wodami,
Słońce z chmur lotnych patrzy zwoja...
Serce, jak skrzydło, w piersiach gra mi:
Znasz miłość, duszo, duszo moja?

Słońce z chmur lotnych patrzy zwoja,
Dyszą zielone wodne wały...
Znasz miłość, duszo, duszo moja:
Czy snów cię bezdnie kołysały?

Dyszą zielone wodne wały,
Serce się z piersi rwie w bezdroża!...
Czy snów cię bezdnie kołysały?
Szeroki, słony oddech morza...

(z cyklu *W słońcu*)

LASY

Rozrywają mi duszę kolory,
Rade buchnąć w jeden słońca krzyk:

Bory moje! prajcowie bory!
Drzew potężnych podobłoczny śmig!

Ścieżka stopą deptana jelenią...
– Otchłań borów gra pode mną w krąg
Wrzosowiska się rude płomienią
Nad uśmiechem dolinowych łąk.

Strumień krętą kaskadą się sący
Pośród głązów omszałych i pni,
W rytm tętniący, skupiony i rączy
Mego serca gorejącej krwi.

(z cyklu *W słońcu*)

LANDA

Na pustej landzie skroś traw suche morze
Czołg się jakowyś zasrebrzył i znikł...
Świerszcze szaleją w dzwoniącej pokorze
I słyhać kędyś w głębokim przestworze
Jastrzębiów krzyk.

Z radosnym trzaskiem pod słońca spiekotę
Pękają strąki żarnowców i wyk...
Drgają w szafirze słoneczne skry złote
I budzi w sercu drapieżną tęsknotę
Jastrzębiów krzyk.

(z cyklu *W słońcu*)

OŚMIORNICA

Ośmiornica na głębi zakłeta,
Z alg podwodnych łowcze dzierzgam pęta.

Zatulona w pian puszysty błam
Pas miesięczny na topieli tkam,

Boże gwiazdy tkam na oka sieci,
Gdy twój żagiel nade mną przeleci,

Byś mię dojrzał z podobłocznych jazd
I padł w otchłań omroczonych gwiazd.

A kręgiem szumi morze.

Idzie o mnie hyr w rybaczym świecie,
Żem jest fali oszalałe kwiecie.

Że na wstęgach pływających traw
Piszę klątwy mych zabójczych praw,

Że, złowiona w niewody rybacze,
Jak żar palę, jak dziecko w nich płaczę,

A na głębiach tchem rusalnych lir
Wolne żagle w zradny ciągnę wir.

Na głębiach płoną zorze.

Ode brzegu aż po brzeg głębiny
Snuję władne mych przędz pajęczyny.

Na wieczoru idącego mrok
Rzucam blaski promienistych ok

I na tonie, co mym ogniem górą,
Przęcę ramion mych głodnych ośmioro

I przyczajam w głębokościach wód
Mój wieczysty nienasytny głód.

Płacze gdzieś pieśń rybacza.

Ponade mną fal wieczyste gońce
Wielkim krzykiem ciskają się w słońce!

Spieszą łodziom i wybrzeżom nieść
Bożych głębin ostrzegawczą wieść,

Lecz pod władnych moich ramion gniewem
Mrą na piachu śnieżnych grzyw zalewem,

Nie doniósłszy wybawienia haśł
W dal, gdzie żagli biały płomień zgaśł.

Kręgiem się noc roztacza.

Cóż mi one łodzie potrzaskane,
Jeśli twego w nich snu nie dostanę!

Cóż mi skrzydła żagli wbitych w dno,
Co bezlotem w mej niewoli mrą!

Cóż mi trupy z zielonymi ciałą
Mieź tęczowe mego dna ukwiały,

Gdy precz od mię w wolny pierzcha szlak
Twego żagła niepoimny ptak!

A morze – hen – zawodzi.

I tak czekam nieskończone wieki
Na samotny twój przelot daleki;

Rozesnuta na bezmiar krąg
Głodną żądzą czekających rąk,

Bacząc, zali w zórz bławych modlitwie
Nie przyływa twe skrzydło rybitwie,

W pieśń rozgranych mej tęsknicy lir
Na ośmiory zatracenia wir.

O, ty daleka łodzi!

(z cyklu *W słońcu*)

DZIEDZILIA

Z pian słonecznych na kłosisia powodzi
Krasopani sławiańska się rodzi:

Złotogłowa zbóż pani – pralilia –
Pól gospodza – słoneczna Dziedzilia –
Dziedzilia.

Jako lite makaty bezcenne
Kręgiem kłosisie przelewa się senne;

Śnieżne gryki i krasę konicze
Ślą tchów miodnych gorące słodycze;

Złoty łubin pod kwietnym płomieniem
Pęka w słońcu dostałym nasieniem;

I jak wejrzyć pył złoty się wlecze
Skroś błękitnej pogody dalecze –
dalecze.

Pocałunki słonecznej spiekoty
Na pierś niwom rzucają żar złoty!

Pole kłosów rozkoszą omdlewa...
Pole kłosów się kłoni i śpiewa...

Dzwonnych świerszczy żarliwe chorały
W hymn szaleństwa się kołem rozgrały,

Zasię w pieśni ich skwarnej i chwiejkiej
Kadzą ziela balsamne duszejki

I kwitnących zbożowych źdźbeł rzesza
W lotnym wietrze miłosny pył miesza,

Falująca dreszczami ciężkimi
Pod nagrzanym, zapiekłym tchem ziemi –
tchem ziemi.

Dziwo cudu nad światem się przedzie:
Legła ziemia w dosytnym obrzędzie,

Wyciągnięta miedz kwietnych ramiony
Ku rozdrożnej gontynie zwalonej,

Gdzie z samotni świętego zwaliska
Jasna boga by płomień wytryska,

By bijące pól serce odwieczne,
By ich pieśnia i skrzydło słoneczne –
słoneczne.

Nad jej głową u niebios podwoi
Złote słońce jak młody bóg stoi

I – porwaną głębokim szafirem –
Opłomienia zwichrzonych gwiazd wirem,

Że w szaleństwie drgającej otchłani
Tan poczyna wieść pól Krasopani,

Krąg ekstazy, co w żarach się siania,
Krąg niezmienny wiecznego kochania –
kochania.

W kształt lotnego złocistych skier leja
Tańczy boga, płomienna zawieja:

Jakby wszystkie kwiatowe opyły

W jeden złoty się tuman stopiły!

Wszystkie wonie, szalone tęsknotą,
Wszystkie luby, co w wicherze się plotą,

Wszystkie szwały i sny, i pragnienia
Zatoczyły się w okrąg płomienia –
płomienia.

Wciąż szaleńszy ich tan i gorętszy
Ku słonecznej potędze się piętrzy:

Jakichś dłoni tęskniących wytryski...
Jakieś tchnienia i szepty, i błyski...

Rozkosz męki, co zda się konaniem,
A wieczystym odkwita zaraniem...

Tan żywota, co z śmiercią graniczy
W nieskończeniu bolesnej słodyczy –
słodyczy.

Coraz wyżej z gontynnych skał grani
W słońce wzbija się tan Krasopani!

Coraz letniej w słoneczne przędziwa
Miłośnicza tęsknica się zrywa!

Aż nad łąków dosytnym omdleniem
W słońce spłynie skrzydlatym płomieniem,

Aż zakryje paizą słoneczną
Swych dopełnień tajnicę przedwieczną –

Złotogłowa zbóż pani – pralilia –
Miłośnica słoneczna – Dziedzilia –
Dziedzilia.

(z cyklu *W słońcu*)

Ze zbioru ANIOŁOM DŹWIĘKU

OSTATNI MODREJ FALI PŁACZ...

Ostatni modrej fali płacz
Na białych skałach kona...
Słoneczną mą tęsknotę racz

Ty przyjąć w twe ramiona!

Pośród cyprysów bluszcz się pnie,
Róże na muru zrębie...
Serce me składam w dłonie twe –
W błękitną rzuć je głębie.

KSIENI TĘSKNOTA

Przychodzisz do mnie, smętny gość,
Z pokłosiem mego żywota –
Lecz mi cię dość! lecz mi cię dość!
Daj sercu żyć! daj duszy rość!
Tęsknota moja – tęsknota...

Cóż, że mi czytasz z pustych kart,
Niewcieleń żałobna ksieni,
Hymn, co był może życia wart,
A nie wstał nigdy z grobu kart
Jak spod listowia jesieni?

Cóż, że zebrałaś w wspomnień sieć
Cały dorobek z mej roli:
Bezpłodny perz, pszeniczną śnieć,
Gdzie ziarno złote chciałam mieć.
Cóż, że to boli, że boli?

Dość już za siebie w własny cień
Obracać oczy tęskniące!
Czy nam, czy innym wstaje dzień,
Trza wyjść mu przeciw z głuszy śnień
I Boże powitać słońce.

TANCERKA Z KAMBODŻY

Puściecie mię, siostry moje,
Puściecie mię w tan
Modlitewny!

Na strunach złotych lir
Zawiedźcie brzęk
Zaśpiewny,
Zakrzyczcie w ostry orli skwir,
Co ścichnie w jęk.

I niech mię porwie święty wir!
I niech się dłużej nie ostoję,
Gdy wzywa Pan!

Puśćcie mię w tan! puśćcie mię w tan,
O dobre siostry moje!

Niechaj się wokół wierni skłonia,
Niechaj się głowy łanem gna,
Niechaj kadzidła dyszą wonią:
O złoty piach uderzam skronią,
O zapal, Panie, łaski skrå
Tancerkę Twą!

Odrzucam z twarzy zasłon mrok,
Odrzucam z oczu włosów zwój,
O Panie mój! O Panie mój!
Uświęć mój trwożny, błędny krok!
O serce moje. Boga czuj!
Ku Tobie wznoszę korny wzrok,

Sprężcie się teraz w gibki łuk,
Cięciwy żądne moich nóg,
Bo oto wzywam Słońca Strzały!
Gnajcie mię w szal! szarpcie mię w wir
W szalonym wicherze świętych lir
Grających pieśń Jej chwały!

Wzniesione kiście moich rąk,
Splećcie się w wian! puśćcie się w krąg!
Roztrąćcie sobą mroków próg,
Gwiazdami tkań,
Za którym skrył się wieków Pan –
Mój Bóg! mój Bóg! mój Bóg!

Widzę Cię, Panie! widzę Ciebie!
Przebiłam niebios mrok.
Cztery oblicza masz
Na niebie,
Na cztery świata strony,
I zewsząd widzi mię Twój wzrok,
I zewsząd patrzy Twoja twarz!
Tysiące ramion, rąk tysiące
Jako promienie w krąg idące –
W promieniach ramion trwasz,

Jak słońce!

Widzę Cię, Panie! Widzę Ciebie!
(W tanecznym wirze...)
Toniesz w głębokich nieb szafirze,
A obraz mi się Twój kolebie
I nieskończoność wgarnia w pierś!

Nogi me jeszcze nie dość chyże!
Ręce me jeszcze nie dość giętkie!
Szalone wiry nie dość prędkie!
Rozkosz pochłania mię jak śmierć.

Wciąż szybszy tan! Wciąż szybszy krąg!
Pod promieniami Twoich rąk
Targa mię w szal Twych lir muzyka!

Spod opuszczonej w dół powieki
Wzrok Twój przenika,
Pała...

O Prapotęźny! Wszem-daleki!
Chwała Ci po wieczyste wieki!
Chwała Ci! chwała! chwała!

Widzę Cię, Panie! widzę Ciebie:
W bezmiar rozparłeś się na niebie,
A z głowy Twej na krąg błękitów
Wyrasta Drzewo-cud.
Wyrasta z boskiej Twojej głowy
Krzew nieśmiertelny, lotosowy,
A przez gwiazdzistych liści zwoje,
Grających wiecznych tajni psalmy,
Tańczą rozkoszne siostry moje –
Tancerek życia wierny lud.

W błękiecie krążą wniebowzięte
U tajemnego Drzewa szczytów...
O Słowo święte, niepojęte,
Przed którym dusza w proch się gnie,
O ratuj, przyjmij, uświęć mnie!
Chwalmy Cię! Chwalmy! Chwalmy!

Jak powalona palma w wichrze,
Upadam w proch.
Liry zajękły w święty szloch
I gasną cichsze... cichsze... cichsze...

W piersiach palące czuję łzy,
Łono wstrząsają śmierci dreszcze...
O oczy moje! oczy wieszczę!

Gdzie Ty? gdzie Ty?

Przewiałeś w dal, jak wicher pustyni,
I znikłeś ślepym oczom mym:

Widzę już jeno ofiar dym
Wśród Twej świątyni,
Które bursztynem wonnym dymią
Przed Twą karzącą dłoń olbrzymią,
Co gasi wszelki życia szloch,

I – rosnąc w bezmiar – lodowata,
Siedmią swych węży mię przygniata
W proch.

ANIOŁOM DŹWIĘKU

Anioły dźwięku zakłęte w dzwonach,
Śpiewają w głos;
Na pozłocistych zbożnych zagonach
Ciężki zadumą o przyszłych plonach
Kłoni się kłos.

W żalu głębokim w dłonie się chyli
Pobladła twarz,
Wszystko się stapia w błysku tej chwili;
Czym my to byli? Co my to śnili?
Żywocie nasz...

Czemu w wieczornej żniwa godzinie
Nie niesiem nic?
Coś o zasłudze śniłam czy winie –
A jak sen próżny, to wszystko ginie
Sprzed moich lic.

Rodzeństwo moje, anioły dźwięku,
Grające z wież!
I moje serce Pan dzierzył w rękę,
Zanim je strącił, drżące od jęku,
Na ziemski ścież.

Przepoił całe pieśnią w błękicie

Niebiańskich pól,
Aby harmonii onej odbicie
Poniosło w ludzkie łono i życie
I w ludzki ból.

Pieśń swej miłości biło dzień cały
Serdeczną krwią,
Ale się bicia w głos nie rozgrały:
Próżno jej dzisiaj wasze hejnały
Do wtóru zwą.

Anioły dźwięku! wy mnie rozgrzeszcie,
Mnie – niemy dzwon,
I pieśń miłości z ziemi zabierzcie,
Gdzie, wolna życia, znajdzie nareszcie
Stracony ton.

Z TEKI POŚMIERTNEJ

* * *

Widzieć krew ściekającą żłobionym
ostrzem szabli – ostrzem nieugiętym –
i myśleć – spłynie...

Iść lasem – spalonym popieliskiem
zwęglanych, okaleczonych królewskich pni
i myśleć – odrośnie...

Słuchać serca, rozrywającego pierś
ciosami śmiertelnego, zwycięskiego buntu
i myśleć – zapomni...

* * *

Wołałam ptaka dzikiego, by przyszedł jeść mi z rąk.
Ogrzewałam na piersi zmarzłego kwiecica pąk.
Iskrę chowałam w popiele, by błysła w ognia krąg.

Ptak odleciał – niewdzięczny – daleko, daleko stąd.
Pąk kwiecica mi na sercu pochylił się i zwiądnął.
Iskra zgasła w ciemności żrącej jak trąd, jak trąd.

* * *

Nie bój się mnie – przyjdę pogodnie, łagodnie
Jak matki dalekiej pieśczoła...
nie bój się mnie!

Na serce położę ci dłoń, i serce przycichnie,
wychłodnie–
I serce przygaśnie, przepomni...
nie bój się mnie!

Gdy świat stopię ci w jedno śpiewające morze,
Dalekich fal płaczem ukojne...
nie bój się mnie!

Jeśli jest Bóg nad gwiazdami, w nieb szafirowym
przestworze,
To moje dłonie są Boże
nie bój się mnie!

NOC MIEJSKA

Otwieram okno i w letnią noc patrzę:
Drzew kilka szumi zolbrzymiałych noca,
Z dala latarnie uliczne migocą,
I marionetek, sznur – jak na teatrze...

Kot się gdzieś skrada za ptasimi gniazdy,
Ćma się pod światło latarni trzepoce –
I tak bezmiernie dalekie lśnią gwiazdy
W miejskie więzione, beznadziejne noce!

* * *

Boża krówka po trawie się wspina;
Dąży w górę – radosna, niezgrabna;
Raz w raz pada i znowu zaczyna –
Lśni jej szatka jedwabna.

Ale wreszcie gdy stanie u szczytu
Ominąwszy wszystkie ździebeł sidła,
To się śmiało rzuca w głąb błękitu,
Jakby nagle poczuła swe skrzydła.

Boża krówko! O Baśni daleka...

Pomnę jeszcze, jak z drzeniem tęsknoty
Wzrokiem dziecka śledziłam twe loty

I aż śleplam, patrząca pod zorze,
By wypatrzeć maleńkie to boże,
Co spragnione jest twojego mleka.

* * *

Fortepian się skarży i płacze
Spod miękkich, białych rąk...

Do nóg twoich rzucam mą miłość
I złudy, i łzy, i rozpacze,
I białej róży pąk.

Odchodzę w me drogi tułacze,
W samotnej zorzy krąg...
Do nóg twoich rzucam mą miłość –
I nigdy cię już nie zobaczę.

Fortepian się skarży i płacze
Spod miękkich, białych rąk...

* * *

Na taflę morza błękitną, -błękitną,
Po marmurowych zstępuję tarasach.
Akacje kwitną.
Mdleje pachnący wiatr w kwitnących lasach.

Szemrzą stłumione fali suplikacje.
Na oczy ciężkie spadają powieki.
Kwitną akacje.
Myślę o tobie, daleki, daleki...

* * *

A kiedyśmy wieczorem o szyby łopocą,
A serce pierś rozrywa niespokojnym biciem –
Czy wiesz, co mały świerszczyk gra w kominie nocą?
Czy wiesz, że to bez ciebie życie nie jest życiem?

* * *

Wróż sobie, wróż
z czerwonych róż,
z czerwonych osypujących się płatków, co mrą.

Wróż sobie, wróż,
aż w sercu róż
znajdziesz me serce, znajdziesz me serce ociekające
krwią.

Z czerwonych róż –
Ty weź je, skrusz
i rzuć na wiatr, i rzuć na los, najświętszą dłonią Twą.

Z czerwonych róż –
I cóż? i cóż?
Krwawiące płatki, krwawiące serca jak ptaki w zimnym
[wietrze się rwą.

* * *

Tyle godzin przede mną:
Pierwsza, piąta, dziesiąta...
Będę liczyć daremno
Z mego ciemnego kąta!

Będę liczyć, jak biega –
I tęsknić nieprzytomnie:
Że wszystkie podobne do mnie,
A żadna niepodobna do niego!

* * *

Zostawcie wy mnie w spokoju –
Nie płaczę, nie płaczę przecie!
Dobrze mi w kącie pokoju.
Czego wy jeszcze chcecie?

Nie męczcie mnie już daremnie –
Nie płaczę przecie, nie szlocham!
Czego wy chcecie ode mnie?–
Kocham go! kocham! kocham!!!

* * *

Jego krwawy rubin w pierścionku
Pali mi dłoń.
Ty mię, perło – blada perło matki,
Na obrączce chłodnej, na obrączce gładkiej
Przed rubinem jego pocałunku
Broń!
Ty mi ochłódź usta, które tęsknią doń...
Błada – perło – ratunku –

* * *

Na kasztanach srebrne pąki,
Na wierzbinię złota mgła –
Po co smutki i rozłąki?
Po co ty? – i po co ja?

Roztopami płyną łąki –
Po cóż jedna więcej łza?
Na kasztanach srebrne pąki,
Na wierzbinię złota mgła...

* * *

Okiennej ramy krzyż.
Firanki biała chusta.
Co, drzysz?
Daj usta!

Łza jednej gwiazdy drży
W dalekim niebie.
Nie ty...
Nie ciebie.

Z buków jesienią płomiennych
Padają, padają liście
Jak krople krwi.
Sen swoich nocy bezsennych,

Najmiłościwsze twe przyjście
Dusza ma śni.

Rybacze żagle w zatoce
Jak ptaków powrotnych rzesza
Do brzegu mkną.
Serce, co pierś mi druzgoce,
Na każdym żaglu zawiesza
Nadzieję swą.

O przyjdź, nim zgaśnie w błękicie
Żar buków krwawych na niebie
I żagli rój!
O przyjdź! Co nam śmierć, co nam życie:
Kocham ciebie – przyjdź! Kocham ciebie,
Jedyny mój...

Nie mogę sobie dać rady, nie mogę sobie dać rady,
Nie mogę znaleźć ratunku –
Wciąż myślę o twych oczach, o twojej twarzy bladej
I smutnych ust pocałunku.

Wciąż widzę twoich włosów czarne jak noc kaskady
I tonę w nich bez ratunku –
Nie mogę sobie dać rady, nie mogę sobie dać rady
Bez twego pocałunku.

A więc się nigdy, nigdy nie zgoi
Śmiertelna rana, krwawiąca rana
Wzięta z twojej ręki i z męki twojej,
Rana śmiertelna – umiłowana?

* * *

Na ranę serca śnieg pada,
Pada powoli, powoli...
Cisza się Bogu spowiada
Z tego, że nic już nie boli.

Znikły anioły i hydry,
Wszystko przewiało, przebrzmiało,
A śnieg z niebieskiej klepsydry
Pada tak biał, tak biał...

Z RAPTULARZA. 1910–1917
(1917)

PIERŚCIEŃ ŻYCIA
(1918)

Z TEKI POŚMIERTNEJ (1913–1918)

Z RAPTULARZA

Marzy ci się pieśń ofiarna,
Pieśń w serdecznej krwi skapana,
Gdy obracasz ciężkie żarna
W szarym kurzu po kolana...

AJACCIO

Uwieńczona gajami kwietnych pomarańczy,
Ujęta w gór śnieżystych zazdrosne koliska,
Modrooka zatoka śni jak odaliska,
Pod słońcem, co na falach dżdżem Danai tańczy.

Wesoły zefir lekko białe żagle niańczy;
Cicha woda jak turkus umarły połyska;
Od górskich hal niekiedy spiekło wrzosowiska
Dyszą nagłym powiewem woni opętańczej.

Wzdymaj się, lotny żaglu! Spiesz ku brzegom, łodzi!
Widzisz te domy białe wśród kwiecia powodzi,
Przyczajone jak stado gołębi na łanie?

Tu mieszka szczęście. Cicho! Wciąż senniej i słodziej
Płyniesz w czar miłowania... Zali wzrok cię zwodzi?
To kaplica umarłych. Wieczne spoczywanie...

(z cyklu *Z wyspy słońca i śmierci*)

INWOKACJA

Święcę Ci serce moje: drogocenną czarę
Złotym winem miłości nalaną nad miarę –

Tak hojnie, aż z ronionych pian zbiegłymi śniegi
Razem się Imię Twoje przelało przez brzegi.

I oto czarę mojej miłości bezcenną
Niosę w życie radosną, wolną, bezimienną,

I wszech cudów tej ziemi ją stroję ozdobą:
Nie Ty jesteś wszystkim – lecz wszystko jest Tobą.

(z cyklu * * *)

SZCZĘŚCIE

Nie więźcie mnie, nie więźcie,
Nie powstrzymujcie mnie!
Ja muszę gonić szczęście,
Co szlakiem wiosny mknie.

Tak szybko, szybko pierzcha,
Tak wciąż ucieka z rąk!
Gdzie chwycę – tam już zmierzcha,
Już w nowy skwita pąk...

Nie przekwitł mi sasank
Ukryty jeszcze w śnieg –
A już kaczeńców wianek
Na modrym stawie legł...

Wczoraj mi błysł rozkwitły
Biały wiśniowy sad –
A dziś puch bzu błękitny
Na moje oczy padł...

Nie więźcie mię! Nie więźcie!
Nie powstrzymujcie mnie!
Może dogonię – szczęście –
Co kwitnie – w białym bzie.

(z cyklu * * *)

CZEREŚNIE

W domu pachną smażone czereśnie,
Osy biją o nagrzane ściany...
W sercu wstaje z daleka, jak we śnie,
Obraz dawno, dawno zapomniany:

Siedzę w cieniu chmielowej altany,
Jest pogodnie, radośnie i wczesnie,
Świeci złotem kociołek miedziany,
A w nim pachną smażone czereśnie.

Walcząc witką z osami złotymi,
Aby która w płyn lepki nie padła,
Patrzę w czerwień wonnego zwierciadła
A w nim widzę – dalekie od ziemi –

Słodkich odbić różowe widziadła:
Wieczną bajkę dziecinnej alchemii.

(z cyklu * * *)

OGNISKO

Snuje się modry dym z ogniska
I het po polu wstęgą ściele...
Czasami złoty płomyk błyska,
Błyska i kryje się nieśmieie.

W sercu głód zdrowy i wesele –
Ochota z piersi pieśnią tryska!
Szpaki furknęły znad ścierniska...
Ziemniaki pieką się w popiele.

Wielka jesienna cisza polna
Nie budzi pustki ni tęsknoty:
Dusza dziś troskać się niezdolna,

Tyle z radością ma roboty!
Marzenie, szpaki i dal wolna,
I ognia miody żywioł złoty.

(z cyklu * * *)

DRZEWA

O, któż człowieczym słowem wypowiedzieć zdoła
Tej wiekuiestej łaski miłościwy wiew,
Co spływa na gorączką przepalone czoła
Z wniebowziętych wierzchołków wybująłych drzew?

Któż opowie różane żywota zachwyty,
Które rozkwitła jabłoń na błękicie śni,
Albo w słońcu wiosennym dreszcz brzóz złotolity
Wokół wiotkich gałązek i wysmukłych pni?

Któż wypowie dostojność kwitnącej pogody
W rojnym brzęku harf pszczelnych dumających lip
Pokraśniałych jarzębin dziewicze jagody
Lub sosnowego pyłu oszalały syp?

I wielki spokój dębów, i świerków żalobę,
I kolumnowych topól podobłoczny śmig,
I wszystkich drzew, pór wszystkich radosną ozdobę,
I ich wzrostu do słońca wieczny niemy krzyk?

O drzewa! mauzoleów przeszłości kolumny,
Z którymi się nasz żywot niewidzialnie sprzął!
Wy, kolebki dzieciństwa i starości trumny –
Wierne przez cały życia niewiernego ciąg!

Błogosławione bądźcie, drzewa! drzewa! drzewa!
Błogosławion wasz spokój i cichość, i szum!
Oto mi waszą chwałą duch stęskniony śpiewa
I ucieka się modlić w wasz ojcowski tum.

(z cyklu * * *)

WIOSNA 1915

Wiosna! Wiosna! Czy słyszycie, bracia moi;
Zmartwychwstania dzwon błękitny w niebie buja.
Czy czujecie serce ziemi w lodów zbroi:
Alleluja! trwożnie bije, alleluja!

Na rozdrożu uskrzydłona Wolność stoi.

Ziemia nasza – jeden krzyżów las cmentarny,
Niebo nasze – łun i dymów krwawe słupy.

Dom nasz – zgłiszczy gorejących stos ofiarny.
Bracia nasi – nie grzebane w polach trupy.

Na rozdrożu uskrzydłona Wolność stoi.

Gromy biją kul posiewem w piersi łąnów;
Rozkopują, rozrywają ziemię żyzną.
Rośnie, rośnie pole mogił i kurhanów.
O Ojczyzno! O Ojczyzno! O Ojczyzno!

Na rozdrożu uskrzydłona Wolność stoi.

Z łoża śmierci od rubieży do rubieży
Młode życie bezlitośnie w słońcu tryska.
Biały obłok się przegląda we krwi świeżej!
Skowronkowie ośpiewują bojowiska;

Blade kwiaty wykwitają z serc żołnierzy.

Na rozdrożu jako posąg Bożej Męki
Wznosi Wolność z krzyża zdjęte swe ramiona.
Po jej skrzydłach spływa cichy brzask jutrzeńki
W bratobójczy, męczenniczy bój miliona.

Blade kwiaty wykwitają z serc żołnierzy.

Z kainowych jęczy mroków skarga ziemi.
Ziemi naszych łez i znojów, krwi i kości –
O tę wiosnę, co rozbłyśnie skrzydły twemi,
O Wolności! O Wolności! O Wolności!

Blade kwiaty wykwitają z serc żołnierzy.

Coraz szerzej szlak ofiarny w dal się śnieży.
Coraz hojniej krew męczeńska ziemię poi.
O czuwajmy! O czuwajmy, bracia moi,
Gdy miecz Życia w dzwon grobowych płyt uderzy.

Na rozdrożu uskrzydłona Wolność stoi.

Blade kwiaty wykwitają z serc żołnierzy.

Warszawa 1915

* * *

O skwitnijcie, czarne krzyże cmentarne!
O skwitnijcie wiśniowymi sadami!
Czyż nie dosyć serca ległe pod wami
Krwia serdeczną was poily ofiarne?
O skwitnijcie, czarne krzyże cmentarne!

O skwitnijcie! O wydajcie owoce!
Czyż nie dosyć łzy do stóp wam się lały
Na radości kraśny owoc dojrzały,
Co nasyci ciężkie głody sieroce?
O skwitnijcie! O wydajcie owoce!

(z cyklu *Strofy*)

* * *

Ten sam kwiatowy sen,
Co twej radości kwitł,
Po drogich grobach, hen,
Wśród zielnych buja kit.

Skąd śmiech, coć w sercu drwi,
I łza, coć mroczy świat?
Czemu wyrosły z krwi
Mniej pięknym ma być kwiat?

(z cyklu *Strofy*)

* * *

O, kolorowy upiorny ułanie!
Zali ja jeszcze dziś mam widzieć ciebie
Tu, na krwią bratnią przepojonej glebie,
Na kainowym jęczącym kurhanie?

Zali tu jeszcze, gdzie wstaje z trzew ziemi
Skarga rozpaczy o litości Boskiej,
Twój duch tęczowy, radosny, beztroski
Ma płasać grobom ogniami błędniemi?!

(z cyklu *Strofy*)

* * *

Ciche szczęście, najlepsze na ziemi,
Idzie w słońcu drogami polnemi
I litosnym się śmieje uśmiechem
Nad człowieczym cierpieniem i grzechem.

Ciche szczęście, najlepsze na ziemi!
Czyś ty nie szło drogami błędnymi?
Tu są pola pod klęską i gniewem,
Kul posiane śmiertelnym posiewem.

Ciche szczęście, najlepsze na ziemi!
O, pójdź w słońcu drogami krwawymi
I na oczy krwią ślepe, w udęce,
Kładnij kwietne, słoneczne twe ręce!

(z cyklu *Strofy*)

Ze zbioru PIERŚCIENŃ ŻYCIA

Wychodzę w pole z psem.
Ranek. Przedwiośnie.
Przestwórz błękitnej pogody
Dyszy radośnie
Wietrzanym tchem.
Świat taki młody, młody!
Rośnie.

Pośród błękitnych roztopów –
Z daleka –
Szalona biegiem suka
Szczeka,
Szuka...
Ni ptaka, ni zająca:
W powietrzu szuka tropów
Słońca –
W wiosennej wody potokach
Chlupoce bezrozumnie,
Aż wreszcie w śmiesznych skokach
Powraca ku mnie
I kładzie się na ręce
Kudłatym łbem,
A oczy ufne, dziecięce,
Czarne,
W niemej podzięce
Zwraca ku mnie: dwa wierne płomyki ofiarne.

Gładzę jej korny pysk:
Moja! moja!
I czytam ócz jej błysk.
Jakoby snem,
I patrzę w nią i w siebie – w głąb wiecznego zdroja –
I – wiem.

Czuję, jak dusza ziemi – z daleka – z daleka –
Rośnie
Od wieków wieka
Do mnie – do duszy mojej – do człowieka.

Przedwiośnie:
Wejrzały ku mnie z łąk
Roztopów modre oczy,
Zapachniał wierzbnny pąk,
Rozmarzył obłok biały,
Co kędyś z wiatrem mknie,
Ptaki mię ośpiewały –
Żywot, co polem kroczy,
Zagarnął mnie.

Słyszę, jak pierwsze kwiaty,
Niby drobne serduszka dziecięce,
Dzwonią, dzwonią nad wodne kobierce.

Zbieram ich pełne ręce!
Zbieram ich pełne serce!
Chłonę ich aromaty
Miodne, rośne i ziemne:
Siostrzyczki moje młodsze.

Cichsze, słodsze,
Tajemne.

Gdziekolwiek rzucę
Wzrok,
Gdziekolwiek zwrócę
Krok,
Tam wszędzie błyska mi
I lśni
Tysiącem farb
– Pierścień życia.

Z tajemnych snów ukrycia
Dobyty skarb,
Skarb jeden, wiecznie młody,
Krynica żywej wody,

Z której spragniona piję.

Jak miód łaskawej wieści,
Zbierałam sama oto
Ten kryształ i to złoto
Najdoskonalszej treści –
By dzisiaj w sercu mojem
Bolesnych złud spowicia
Opasał żywym zdrojem
– Pierścień życia.

Na jego to promienie
Te pola i te łąki,
I wierne psa spojrzenie,
I dzwonki, i skowronki –
Zbudzona dusza ma
Pomiędzy nieb posową

A łonem czarnej ziemi
Tęczami anielskimi
W drabinę Jakubową
Tka...

Magdaleno, ciszo polna,
Magdaleno, ciszo leśna,

Która zlewasz mi pod nogi
Miłosierny balsam drogi
I ocierasz włosy swemi
Stopy pyłne kurzem ziemi –

Z wszechboleści – bezboleśna,
Z wszechniewoli – siostrzo wolna,

Dzięki tobie – ciszo leśna...
Dzięki tobie – ciszo polna...

W wiosenne alleluje
Na ornej klękam ziemi
I skiby bruzd całuję
Ustami dziękczynnemi.

Spłynęły łez mych zdroje

Roztopów modrą wodą,
Przelśniły się sny moje
Zielenią liści młoda.

Ból, który serce porze,
Wtopił się kędyś w dali
W ten pług, co skiby orze
Lemieszem sonej stali;
A krzywd serdeczne groty,
Rzucone mojej męce
W ten osyp ziarna złoty
Przez twarde siany ręce.

Świerszczyki polne trzęsą mak
 W suchych makówkach ciszy...
(A cóż ci to? A cóż ci brak?)
Schyl w słońcu skroń pod kwietny krzak
 Cisza twe serce słyszy.

W rytm twego serca (Żle-ż ci tak?)
 Spalona ziemia dyszy
I skwarem drga szafirów szlak,
I pieśń świerszczowa trzęsie mak
 W suchych makówkach ciszy...

Maryi Zielnej zbożna kaplica
Ścieżaj otwarta na błękit pól.

Jakież się tutaj modlą anioły
Schylając czoła, jak złoty kłos?

Siostry jaskółki i siostry pszczoły,
I brat mój w pieśni – świerszczyk wesoly,
W ciszy słonecznej śpiewają w głos...

Przed uśmiechnięte Maryi lica
Przychodzi łaska rozweselnica
I składa snopem wyżęty ból.

Pociąg pędzi... O, jak tańczą sosny!

Prą się od ziemi nisko
W pnia spiralne kolisko,
Aż wybuchną w gałęzi ognisko.

Pociąg pędzi... O, jak płoną sosny!

Daremnie chłodne igły,
Chcąc ukryć płomień ściągły,
W puch zielony dokoła zastygły.

Pociąg pędzi... O, jak świecą sosny!

Zbroczonymi ramiony
Wzniosły w zorzy czerwonej
Hostię słońca nad krzyż leśny, zgarbiony...

Jeden wielki opal nieboskłonu...
W zórz głębinie coś jak płacz litosny...
Srebrny księżyc nad czarnymi sosny...
Pieśń daleka dożywnego plonu...

P Konie idą, konie idą szparko –
ola płyną – pies za bryczką bieży –
Na policzkach czuję podmuch świeży...
Ziemio moja, szczodra łask szafarko!

Białe ściany w starych drzew podcieniu –
Lip aleja – staw z żabimi chóry...
Pierwsza gwiazda – tak znana wspomnieniu –
Skryta niegdyś przez burze i chmury...

Serce bije – ogniwo łańcucha,
Co mię spaja z drabiną stworzenia...
Nie kajdany skuwające ducha,
Ale spójnia ślubnego pierścienia...

Świat w złotym słońca skwarze,
W krąg ganku róże kwitną...
Obrusa biel błękitną
Obsiadły drogie twarze.

Radosne mówią glosy...
Pies łasi się do pana...

Maliny pachną z dzbana...
Nad stołem krążą osy...

Z oddali pól niebieskiej
Pieśń żeńców ucho chwyta:
Powraca niespożyta
Baśń Polski czarnoleskiej.

O słodkie piękno stare,
Jak ciężko cię pogrzebać!
Jak lubi duch kolebać
Przeżytych form ofiarę!

O, jakoweż posłowie,
Jakoważ Bożą sprawę,
Jakież wieści łaskawe
Niesiecie mi, ptaszkanie?

Żywe perły, rozsnute
U nóg moich na piasku,
Kłonicie łebki w blasku,
Wciąż jedną dzwoniąc nutę.

Słyszę w nich całą wiosnę:
Pozdrowienie przyjemne,
Przypomnienie tajemne,
Rozgrzeszenie radosne...

Dostojna jesień kończy swój dzień
W snopach i gronach, i kłosach.
Na pola schodzi błękitny cień,
Dzwony śpiewają w niebiosach.

Dostojna jesień kończy swój dzień:
Dostyc już trudów i plonów –
Złóż ręce pełne tęsknot i chceń,
Posłuchaj modlitwy dzwonów.

Dostojna jesień kończy swój dzień.
Zważone-ć skarby połowu!
Bez żalu dzień twój w noc gwiazdną zmień;
Powrócisz – powrócisz znowu.

Na zburzonym w gruz rynku miasteczka,
Które zorał krwawy wojny pług,
Cicho wiedzie zarośnięta steczka
W cmentarny próg.

W groźnych pięściach sterczących kominów,
W oczodołach zrujnowanych ścian –
Próżną mękę kainowych czynów
Powiada Pan.

W pełni słońca cichy, zadumany,
Śpiącym grobom szepce stary krzyż,
Że duch łamie form przejrzałych ściany
I leci wzwyż.

Cześć tym, co rwali kajdany łańcucha
Przez własną mękę i przez własny czyn,
Dla Polski jutra, dla ojczyzny z ducha,
Zbawionej z niewiar i obmytej z win.

Cześć tym, co w klęski śmiertelnej pomroce,
Ginąc z oczami żartymi od ros,
Znicz rozniecali w beznadziejne noce,
Aby dziś Polski nie ślepił jej los.

By jej nie złamał ciężar łaski Boga,
Co trzy mocarstwa w prochu przed nią stały,
Aby jej płoną nie zmroziła trwoga
Przed nadczłowieczą miarą łask i kar.

Dziś, gdy fanfary grzmia zwycięskim: „żyjesz!”
A chuć drapieżna głuszy krzykiem; „masz!”
Czyjeż by, Polsko, dusz zwierciadło – czyjeż
Odbiło twój zmartwychwstałą twarz?...

Duch Polski u skraju mogiły
W dostojnej ukłęknał pokorze,
Ażeby mu czynu zwoliły
Wszechmocne ręce Boże.

Nie w niebios on bowiem spowicie
Po glorii męczeńskiej wstępuje,
Lecz musi od nowa wejść w życie
Przez grobu alleluje.

Lecz musi krwią stanąć i ciałem
Na ziemi z łez ludzkich i z błota,
By życiem w was zmartwychpowstałem
Świadectwo dać żywota.

Czuwajmyż, czuwajmy gotowie,
My, z wieków na dzień nasz wybrani,
I baczmy! – Wszak niegdyś uczniowie
Zasnęli w Getsemani...

Stworzyć dzieło tak pełne harmonii jak róża;
Symfonię – jak pod słońcem wicher na stepie wolny;
Świątynię – jako błękit nieb, gdy się rozchmurza!
Maszynę tak w budowie prostą jak żuk polny.

O, jeden rytm tajemny wieczności oddechu
Wynieść z niemych sezamów skarbnicy letejskiej!
Sztuko! blade zwierciadło Bożego uśmiechu,
Na Ikarowych skrzydłach ogniu prometejski!

Słowa – żalnice kryształowe,
Kędy ludzkości łza zapadła.
Słowa – krynice Narcyzowe.
Słowa – natchnionych snów zwierciadła.

Cóż, że dziś strumień krwi i błota
Przez wasze brzegi się przelewa –
Gdy nawet w jego szumie śpiewa
Nasza harmonii sfer tęsknota.

Ekstazyczne żab i świerszczów chóry,
Spadających gwiazd girlandy lotne...
Wielki spokój uśpionej natury –
I bezsenne cierpienie samotne.

O, jak liść spaść pod stopy bolesne!
O, jak skra miłowaniem się zetlić!
Jak na chusty Weroniki bezkresne
Łzy wszechświata na się wziąć –
[i przeświecić!

Gdy się kształt z nas osypie, jak owoce dojrzałe,
Jako grona dostałe w winnicy,
Was chcę pierwszych powitać, mojej łodzi sternicy
Astry gwiazd, smugi śnień, skrzydła białe.

Was chcę pierwszych powitać wchodząc w próg tajemnicy,
Wam dać pierwszą podziękę i chwałę –
Gdy się kształt z nas osypie, jak owoce dojrzałe,
Jako grona dostałe w winnicy.

Głos, który gromem zmałił ciszę,
Nie wie, że w gromie „iskra” rzekł,
Kwiat, co w kielichu jad kołysze,
Nie wie, że w jadzie ukrył lek.

Serce, co płacze krwią i łzami,
Nie wie, że skwita w łaski krzew,
Człek, który krzywdą dłonie plami,
Nie wie, że sieje jutra siew.

O, nie płaczcie, oczy moje! nie płaczcie!
Usta moje, krwawy cierń ucałujcie!
Aniołowie, łzom się serca litujcie
I samotni jego grzesznej – przebacście!

O, przebacście, aniołowie i ludzie,
Ludzie bracia, ludzie światy bezdenne –
Iżem śniła przejść w radosnym beztrudzie
Głębie życia, krwią męczeńską brzemienne.

Pięknego kłamstwa mową kłamną

Chwaliłam życie z grobu pleśni –
A Tyś znienacka stanął za mną
I trącił grób, i rzekł mu: „Wskrześnij!”

W nie istniejące cuda łaski
Kryłam z wątpienia strute zdroje –
A Tyś w nie wlał Twej prawdy blaski
I spełnił prawdą kłamstwo moje.

I jako skra, co słońcem pała,
Anielska na mnie spadła trwoga –
Kiedym na duszy dnie ujrzała
W mym kłamstwie prawdę – uśmiech Boga.

Na kłósnym łanie wiatru wianie,
Muśnięcie twoich szat.
W mej duszy uśmiech i śpiewanie,
Przyklękły w rosie kwiat.

Łan marzy cud o światów chlebie,
Świt Światła Gród buduje w niebie.
Niechże się stanie, co jest z Ciebie,
Panie, Panie!

Mroczna otchłań ludzkiego cierpienia,
Sama w sobie bezdennie wpatrzona,
Jak grobowiec nam pierś okamienia,
Ślepi oczy jak głucha zasłona –

Że nie widzimy, jak zewsząd dokoła
Czyha na nas pociecha skrzydlata,
Jak nas wabi, osacza i woła
Niebo, żywot, Boża radość świata.

Serdeczne rozrzewnienie
Jak wiosenna ruń
Kiełkuje, kiełkuje
na dnie.
Kurz przysypuje,
Przytłacza je gruz

I biega, i biega
dnie.

Serdeczne rozrzewnienie –
O, nie zechciej się śmiać! –
I w tobie – i w tobie
trwa.
Wybuja – w alleluja,
Zafaluje jak łan –
Choć nie wiesz, choć nie wiesz
dnia.

Głęboki błękit, obłok biały,
We słońcu rudej sosny pień,
Gdzie starych smutków strute strzały
Słyszałam, jak się ze mnie śmiały
W igliwiu pełnym złotych drzeń.
Szumi szeroki dech przestrzenny,
Ruchem gałązek w słońcu skrzy,
Sosna w otchłani nieb bezdennej
Jak złoty pająk sturamienny
Przędzie błękitne moje sny.
Hej, igły, które wiatr kolebie,
Siejące światła złoty chrzest!
Hej, obłokowie mknący w niebie –
Już nie ma mnie, już nie ma ciebie,
A szczęście jest! A szczęście jest!

Zdobyć się na pokorę, nic, tylko na pokorę,
Być jako ptak schwytny, jak małe dziecko chore,
Jak ziemniaczany kiełek na mrocznym dnie piwnicy,
Jako bezpiorunowe westchnienie błyskawicy;
Ugiąć się pod powiewem Twojej najświętszej dłoni
Jak ta wiosenna trawa, co się tak miękko kłoni –

Z TEKI POŚMIERTNEJ

SIEJBA GROBÓW

Wśród wszystkich świata tułających dróg,
Jakoby gwiazdy bezliczne,
Polskie mogiły rozsiał Bóg –
Ofiarne stołbce graniczne.

Wielka grobami pisana pieśń
Śpi w pustkach morza i lądu,
Aż z niej posepną wieków pleśń
Odmiecie wicher sądu.

A wtedy Pan odczyta sam
Tę wielką pieśń tęsknoty,
I każda głoska z mogilnych bram
Wzleci jak anioł złoty.

Wyskrzydli się przelana krew
Ofiarnym duchem żywa –
– Bo nie ma śmierci – jest tylko siew
Na święte jutra żniwa.

Lecz teraz śpi, lecz teraz śpi
Pod palm i sosen cieniem,
Pod niepamięcią długich dni,
Pod wielkim grobów milczeniem.

Więc gdy w zaduszny krwawy świt
Z drzew cieką liście jesienne,
A siejba późnych ozimych żyt
W ugory wsiewa się senne –

Pomnijmy, że to pominków zew
Pociechą wielką nas wzywa:
– Bo nie ma śmierci – jest tylko siew
Na święte przyszłości żniwa.

SIENKIEWICZ

Modra struga strojna w niezabudki,
Nad brzegami kępy olch wilgotne –
A na strudze cel dziecięcej łódki:

Wyspa, zwana „ustronie samotne”.

Tam kart drogich czytanie stokrotne;
Serc rycerskich radoście i smutki,
Orle skrzydła, ryngrafy pozłotne
I dreszcz wczesny bojowej pobudki.

Książka cudu. W zapomnianym lecie
Bohaterskich snów złoty królewicz –
Pluskot wioseł – niezabudek kwiecie...

Skąd ten obraz wicher wspomnienia miecie?
Umarł... umarł... Kto? – Henryk Sienkiewicz.
– Więc to człowiek był? Więc żył na świecie?

ZIELONE ŚWIĘTA

Płynie ulicą wezbrany,
Wzburzony, skłócony tłum –
A górą, poprzez kasztany,
Przelata szeroki szum.

Tłum mówi: wojny, niewole,
Krew tania i drogi chleb –
Wiatr mówi: słońce i pole,
Drzew zieleń i błękit nieb.

Tłum – o czerwieni i bieli,
Co dzieli na tu i tam –
Wiatr mówi, że nic nie dzieli.
Bolszewik wiatr – ja go znam!

Dla białych on i czerwonych,
Dla wszystkich, stamtąd i stąd,
Życzy zielonych – zielonych –
Ogromnie zielonych świąt.

* * *

Wracają, wracają pułki;
Sztandary i biały bez...
Błękit, dzwony, jaskółki,
Chopinowe mazurki –

Do łez, do łez, do łez...

Wracają – jak mało, jak mało.

Łzy płyną na białe bzy.

O zmartwychwstała chwało!

Stało się, dokonało –

To ty, to ty! to ty!

TARTAK SŁONECZNY
(1923)

KOŁO ŚWIĘCONEJ KREDY
(1923)

WIERSZE OSTATNIE
(1918–1925)

TARTAK SŁONECZNY

Czarny bór;
wytrysk kwitnących sit,
ptasie kapele,
szumów chór –
śpiewanie, śpiewanie, śpiewanie...

Kopalniaki, deski, bele, drwa...
W zgrzycie świszczących pił
przewartościowanie?
zglębianie dna?

Rozpatrzmy rzecz po ludzku, po prostu,
jak zadanie matematyczne.

Mamy oto dwie linie wytyczne;

Pierwsza – tęsknota wzrostu.
Roślinnych łodyg pieśń sokami życia gwarna,
zielona, żywa, wzlatująca
od centru rodzącego ziarna
do centru rodzącego słońca.

(O cicha walko podniebna i podziemna,
męko tajemna
odchyleń stokrotnych!
tajnico wszystkich siewów, zwiędnień i rozkwitów,
błogosławieństwo szczytów
prostych i samotnych!)

Pierwsza linia – to stugłosa, śpiewający,
[roztęskniony boru wzlot.

Druga linia – to śmiertelny grot ciosu, złomu;
linia poziomu,
którą wykreśla zgon.
Obręcz czerwona
znacząca skazane pnie,
piła ostrzona,
topór, co tnie.

(O rozpostarte miłościwie ramiona,
o wichry, o kołysania, o śpiewy!
O starodrzewy...

Głową skrzydlatą o ziem! o ziem! o ziemi
Czymżeście były? snem?)

Druga linia – to poziom; widnokreżnym ostrzem
przecinająca pion
przecięciem jak najprostszym.

(O tajemnico dokonań odwiecznych,
pieczęci złota –
w zbiegu życia i śmierci wykreśleń koniecznych
ty nieodmiennie tryskasz snopem zórz słonecznych,
światłem żywota!)

Droga się rozwiązuje z wymiarów w bezmiary:
pion strzelający wzwyż

i poziom rozpostarty nad światem
kreślą swym nieodmiennym, koniecznym stygmatem
symbol ofiary
– Krzyż!

A tu już brak
i miar, i słów...
Zrób krzyża znak
i pacierz zmów.

Zatrzymali się na horyzoncie,
olbrzymi, nieruchomi, niemi,
w miłościwym ramion rozpostarcia,
jak hufiec na obronę ziemi.

I mówią potężnym gestem
zarysowanym w błękitach
i drobnych liści szelestem,
i chrztem słonecznych plam
– hasło –
zapomnianą, odwieczną, wspólną tajemnicę...

Czy ją uchwyć?

Chyba mi być wiewiórką,
rudym błyskiem
w zieleni,
nagłym wytryskiem
promieni,
skokiem

wesela...

Albo zieloną jaszczurką,
prującą się wśród ziela,
ślepkim zielonookiem.

Albo radosnym kosem,
co gwizdże czystym głosem
ton wykrojony, wracający w śpiewie,
jak wykrój liścia na drzewie.
Albo zasumowanym borsukiem
w najgłębszym zmroczu kniej...
Lub tęgoskrzydłym żukiem,
który rozbija po leśnej polanie
swój organowy lot...

Wtedy może byłabym w niej –
Wtedy byłabym nią – tajemnicą...

A otom – człowiek.

Idę pod świerków gotycką iglicą,
pod dębem, jak pod mieczem Michała Anioła,
i tylko – pytam.
I – mijam, mijam, mijam tajemnicę,
a wtedy jeno chwytam,
gdy – zabijam.

Huczy tartak, motor drga, świszczą gatry...
Suną potężne pnie,
piła je świszcząc rzenie...

Czy słyszysz, pustko ma?

Ni to szerokie wiatry
z pól,
ni to poświsty kuł
i charkot dział.
Pni zwały czy stosy ciał?
Lecą opiłki z drzew

suchym, próżnym strumieniem,
a może krew,
może krew z serc płynąca,
a może piasek w klepsydrze
– jednako mierzące czas...

W śmierci oto przejrzałam twoją tajemnicę,
ale mi nic jej nie wydrze,
jest bowiem społem w nas

– lesie!

Las w śniegu.
Białe anioły drzewa błogosławią,
Skrzydlate krzewy klęczą.
Cisza bez dna.
Okiść opada w słońcu
Z drzew.

Śmiertelne tętno lasu drga od gorączki motorów.
Tartak wre.
Dygocą zębate gatry,
rzną,
piła się wrzyna w miąższ,
kraje miękko hieroglify słoju pnia.
Sunie wciąż, wciąż
moreń desek długich, wąskich, niezliczonych,
jak wieka trumien – na hurt...
Jak wieka trumien dla wszystkiego,
dla wszystkiego, cokolwiek bądź żyje na świecie.

Robotnik ostrzy piły.
– Skrry – skrry –
Raz w raz stępionym zębem stali dojeżdża
[zgrzytliwie do dna
ostrzącego zazębienie toczydła.

Raz w raz iskry tryskają jak elektryczne świece
[na choince
spod jego zmarzniętych rąk.
– Skrry – skrry –
Podnosi kołnierz bluzy,
patrzy przez okno na biały daleki las
i kaszle.

Słuchając zgrzytu pił,
krzesząc błękitne iskry tarciami opornych metali,
patrząc w rozdarcia harmonijnych słoju pnia
człowiek
nie męczy się, nie zrywa, nie rozpacza,
tylko – tęskni.
Tęskni gorzko, boleśnie, nieodparcie
jedną jedyną tęsknotą –
uśmiechu.

Płynie harmonia marzeń między jednym a drugim

[zgrzytem zębatych pił,
między jedną a drugą gwiazdą zaiskrzonego buntu,
i wiąże je w arkady każdym wzlotem i opadem serca
w świętą budowę muzyczną.
Wznosi się i opada jak oddech wielkich wód,
jak pełzający wąż, jak napinany łuk...
– Skrry – skrry –

„Trzeba dostać protezę kulawemu chłopcykowi
[z lasu,
co mieszka w smutnej chałupce i pasie białą kozę
[na długim sznurku.
Kozą ciągnie za sznur, a chłopczyk skacze boleśnie
jak uwiązany na nitce beznogi polny świerszcz...
Może leśna chałupka uśmiechnie mi się szybką
[w zachodzie,
kiedy ją będę mijał.”

– Skrry – skrry –

„I trzeba kupić ciepłą chustkę małej staruszce
[zbierającej chrust
suchymi liliowymi rękami,
co są trzęsące się i wątłe, i stężałe od mrozu
jak wyschnięte zimowe gałązki...
Może podniesie te ręce w radości,
stuknie w zgrabiące palce,
uśmiechnie się trzęsącymi wargami...”

– Skrry – skrry –

„A nie zapomnieć ochłapa dla parszywego psa,
co mi się będzie łąsił i podniesie obwisłe wargi
żałosnym psim uśmiechem...”

– Skrry – skrry –

„Pójdę do miasta i zobaczę znowu czerwony krzyk
[nieskończonych kominów fabrycznych
i kolejkę bezrobotnych, tępo wpatrzonych w tępy
[szary bruk,
i posłańców w czerwonych frakach, niosących
[kinematograficzne plakaty:
dziś – «Chrystus», jutro – «Benefis czterech
diabłów»...
...I szaleństwo ulicznego zbytku, ocierające się
[twardo o ludzki głód,
jak ostrzona piła o pilnik opornego metalu.
Trza by iść długo w tłumie i szukać dziecinnego

[uśmiechu

i mówić – co?"

– Skrry – skrry –

„Chyba zielony szum lasu zmienić w słowo
i białość śniegu zamienić w słowo, i słońce w słowo...
Chyba barwę przetopić w dźwięk,
dźwięk w linię, linię w myśl
i zaznaczyć im strzałką drogę, co wiedzie w uśmiech
stąd?"

– Skrry – skrry –

„Naprzód znaleźć użytek tej zbędnej jałowości trocin
[pod nogą,
opiłków, co się sypią z krajanych miąższów pni.
To, co do ofiary dorosło i daje ciało ostrzu zębatych pił,
niechaj żdźbła jednego nie traci na mialki proch
[codziennosci,
w której grzęźnie krok, w której grzęźnie głos
jak w watowanej celi szaleńca...
– Skrry – skrry – skrry...
Chryste!"

Szerokie wiatry
zmiatają puszysty śnieg
z wierzchołków rozkołysanych jodeł.
Potężny szum nieskończonej słodczy płynie przez
[wielki las
i nad drgającą gorączką tartaku,
nad każdą gwiazdą ziskrzonego buntu metali, nad
[każdym wzlotem i opadem człowieczego serca
wiąże tajemnie świętą budowę muzyczną
w słońcu –

KOŁO ŚWIĘCONEJ KREDY

Opisano wkoło mnie koło kredą święconą
Na przeszłość zapomnianą, na przyszłość zatraconą,
By mię objęło kręgiem jak szklany nurka dzwon,
Koło nieprzekraczalne, koło nieodwołalne
Jak skon.

Jestem teraz jak nurek w oceanowej głębi,
Kędy się niema walka potwornych potęg kłębi:
Święconej kredy koło sklepiło ślepy krąg,
Co się namiotem dzwonu w kolisty ekran sprzął.
A za nim widzę mętnie, jak wielkie chińskie cienie,
Człowiecze żywe życie – i walkę – i cierpienie.

Jestem w zaklętym kole świętych świętem
Na krześle giętym
Przy kaloryferze,
W giętych krzesel szpalerze,
Pod elektrycznymi świecami.
Przede mną ołtarz, gdzie patrzę z kolei
Na fabryczny krucyfiks, na sztuczny cyklamen,
Na tablice z przykazaniami
Niezlomne:
„Nie pluć”, „Nie żebrać” i „Strzec się złodziei”.
...Strzec się złodziei...

Amen. Amen. Amen.

Dosyć! Widzę! Wiem już. Nie zapomnę.
Umówmy się, że tak jest! Umówmy się, że tak jest!
Wszystko można zastąpić na świecie.
Chodzi tylko o formę. Chodzi tylko o gest.
Wy nikomu nigdy nie powiecie!
Nie powiecie nikomu ani wy, ani ja,
Że nas pustka dławi za gardła,
Że z koła świętej kredy jak spod klosza ze szkła
Wytłoczono powietrze do dna, do dna, do dna –
I rzeczywistość – umarła.

Nie ma rzeczywistości. Nie ma prawdy i treści.
Są tylko puste kształty, w których się nic nie mieści,
Jak dziecinne wydmuszki, jak ślimacze skorupy,

Puste chodzące trumny, puste chodzące trupy.
I jako muszle w górach świadczące wielkie słowa,
Że i tu niegdyś grzmiała fala oceanowa.

Ale odeszła precz z rykiem zwycięskich surm
Gdzieś poza nami z dala,
Z pobojowisk i turm wychynięta na szturm,
Plująca i żebrząca, i kradnąca fala.

I tylko koło kredy ugina się i drży
Jak szyby miejskich pięt,
Kiedy wóz motorowy przejeżdża ulice.

Czekam, jak spadły nurek w śmiertelnej rozterce,
Aż krąg wód, niezblagany i mocny jak śmierć,

Zmiażdży kłamane sny,
Kaloryfer, krzeselka i święte tablice
I oprze fale życia o swój własny centr,
Punkt, skreć rzeczywistości, co mi pali pierś –
Moje serce.

Więc spotykamy się wszyscy
W kole święconej kredy,
Wy, obcy mi, a niekiedy
Bliscy.

Wszystkich nas więzi w krąg
Ślepy horyzont ekranu.
Ach te ucałowania rąk!
„Dobry wieczór, dobry wieczór panu.
Dziękuję, tak, bardzo dobrze się bawię.
Dziękuję, doskonale się czuję.
Czy drukuję? nie, nie drukuję,
ale czytam wszystkie nowości.”
(Czy oni wiedzą, Boże, czy oni wiedzą,
że nie ma rzeczywistości?)

Było coś, było z nami,
Pamiętam, widzę prawie,
coś przeciekło między palcami
strumyczkiem źródlanej wody...
„Prawda, prawda, panie Jarosławie,
Na życie nie ma zgody.”

„Prawda, prawda, panie Tuwimie,
umknąć by pod podłogę jak mysz,
wykaraskać się w siarkowym dymie...
...Kamieniem? krzyż?”

„Nie pomoże godzina poezji,
Panie Antoni,
Błady wianuszek wykrętnych herezji
nie przesłoni
brzęczących much niesmaku w lepkiej pustce...
...Na Weroniki zakrwawionej chustce,
na którą nie spłynęła łaska tajemnicza
miłosiernego oblicza...
W nas samych tylko, w nas samych na dnie
może zbudzić się iskra, co wszechświat ozłoci
Wojną dobroci...
...Pan wie...”

A może pan i nie wie, bo któż to wie te rzeczy?!"

Kto wie – ten swoje dzisiaj czuje jak ciężki gład,
Sięgający od podłóg do pował,
I jak chorobę je leczy,
Bo myśli, że zwariował...
A to tylko – dzisiejszy dzień każdego z nas.
Dlaczego – dlaczego – dlaczego?!
Minęło...
Życie przerosło – uśmiechnęło się i poszło w dal,
Poza nas i nasze dzieło,
poza nasz żal.
...A dni – jak konie białe – biega, biega, biega...

Ani ich nam dogonić, ani się dać stratować
Lotnymi kopytami,
Ani ich śladów w prochu gorączką ust całować,
Ni za lecącym życiem za późno błagać: prowadź,
Ulituj się nad nami!

„I pan, panie Kaziu, i pan!
A bazie? rajery? sasanki?
Wiosenne wino, Tanew i San?
Wypite szklanki?...
I pan w zaklętym kole – i pan tu z nami razem
W ślepych kręgu ekranu z ciężkim na sercu gładem!"

O, weźmy w ręce ten gład, ten gład, co nam piersi
[uciska,
W obie ręce mocno, z całych sił,
I rzućmy w kłamną dal, co czyha zewsząd bliska,
Ażeby majak pierzchł, aby się rozpadł w pył!

Jak pjany Moskal przed lustra płaszczyzną,
Tak stoję w kręgu złud, co nam w więzienie skrzepł...
O, rzućmy gład, aż kłamstwa jak krople się rozbryzną,
Aż nam popatrzy w oczy śmierci szary ślep,
Popatrzy na nas pustka, a my popatrzym w siebie,
Bo nie ma dla nas nic prócz nas na ziemi ani w niebie,
I musimy dorosnąć do naszych własnych śnień,
Bo inaczej nas minie, bo inaczej zapomni o nas
[jutrzejszy dzień.

Bo oto śnim zakłęci w kole kredy święconej,
W kole martwej pamięci,
W kole złudy straconej.

O, rzućmy z piersi gład, mocno, sprawnie, jak dyski
Niech pustki czarna dziura

Spojrzy nam oko w oko,
Może w pustce jest ziarno – może w mroku jest błysk...

Hurra!
Wysoko!...

Idą, idą szeregiem,
krokiem, biegiem,
w krąg, w krąg
niby ze śmigą śmiga,
ludzie-plakaty.

W niezmiennym skurczu rąk
każdy swe hasło dźwiga,
swą cyfrę, słowo, znak –
– nie tak – a tak.

Zakrywają pierś swą człowieczą
wielkimi barwnymi kwadraty
i w przód, i w spak,
w kolisty szlak,
pod tarcz niezłomnych pieczę.

A obok nich – urocze! urocze! urocze!
brylanty, rajery, warkocze...
Ta tragiczna – w czarno-białe pasy,
Ta królewska – w perliste ałtasy,
Ta płomienna – w frygijskiej czapce na głowie;
a na każdej kartka etykiety:
Zmigryderowie,
Doucety,
cena – szeregi zer –
Świegot i szmer.

Barwne plamki dobroczynnych kwiatów
z swych woniejących rąk
przyszpilają na piersiach plakatów
i biegną w krąg,
coraz słodsze, coraz lżejsze,
przez coraz kwietniejszy szlak,
roztąnczone niby gejsze
za parawanami z lak.

Z rajszych krzewów owoc rwą:
banany, gruszki,
pomarańcze,

wszystko tak puste jak wydmuszki
pod powłoką barwy pstrą...
Kształty próżne jak sny obłąkańcze.

Dziela pustkę z niezmiennym uśmiechem lic,
powtarzają cyfrę, słowo, znak
naprzód i wstak,
tak i nie tak –
...etykiety, plakaty – nic... nic... nic...

Rośnie wkoło nich biała dal,
bromosrebrzysta głąb...
Buchnęły grzmoty trąb,
zaniósł się skrzypiec żal,
trwożne klawisze drżą w rozterce
„O zstąp, o zstąp, o zstąp
– po drganiu naszych fal...”
Terkoce aparatu serce,
modli się szkło i stal.

Stu jupiterów słońce skrzy
od słońca żywego prawdziwsze –
płyną, płyną po szminkach łyż
od łez prawdziwych tkliwsze.
Padł rozmachanej pięści cios
i ugięła się skała,
śmiech roześmiał się w głos,
błoń się odśmiała.
Idą żeńcy, by żać puszcze o świcie
w codziennym trudzie...
Piersi rozsadza serca bicie...
Życie?
Ludzie?

Drga wstążka marzeń, szarfa wrażeń,
tętnią miraże wielkich zdarzeń,
modli się stal i szkło.
Kłamana prawda, kłam prawdziwy
jak fal spienionych giętkie grzywy
o srebrne biją dno.
Ludzie-plakaty, etykiety
i żywa bromosrebrna głąb...
Dygoce aparatu serce,
trwożne klawisze drżą w rozterce,
łka skrzypiec żal, wre burza trąb:
„O gdzie ty... gdzie ty... gdzie ty?!“

W fal mechanicznych modle żywej

martwego życia złudy dwie
krzyżują się na srebrnym dnie,
odbite w mym upiornym śnie
jak w lustra tafli krzywej.

WIERSZE OSTATNIE

* * *

Czemu ty się śmiejesz, niebo, niebo
Lazurową pogodą radosne?
Wszyscy moi pod skrwawioną glebą,
Z której kwiaty wywołasz na wiosnę...
A ty do mnie uśmiechasz się, niebo?

Co ty do mnie szeptasz, rzeko, rzeko,
Co pluskotasz wesoło mej łodzi?
Moje szczęście uciekło daleko
Jak twa fala, co w morze uchodzi...
I nie wróci tu już nigdy, rzeko!

Co ty szumisz do mnie, lesie, lesie,
Co powiadasz mej wielkiej tęsknocie?
Moje złudy chłodny wicher niesie
Jak twe liście w konającym złocie...
Ale one nie odkwitną, lesie!

Cóż ty mi się kłonisz, pole, pole,
Cóż się chylisz witalnymi kłosy?
Pożegnałaś idącą mą dołę
Z wyżartymi oczyma od rosy,
A mnie witasz – a mnie witasz, pole?

O wy – pole, rzeko, lesie, niebo!
Ja nie wrócę w sny wasze kochane
Aż się sama stanę dżdżem i glebą,
Aż się sama już na wieki stanę
Wami – pole, rzeko, lesie, niebo...

SIEWNA

Jak lotne białe chusty wzdymają się w niebie obłoki –
Przegania je mocny wiatr – szeroki.

Po rozoranych skibach spłoszone cienie ich gna –
Mienia się złote lśnienia i fioletowe dna.

Pędzą obłoki w niebie i cienie po ugorze –
Płynię przestwór falami – jak morze.

Dłużą się prądy złotych promieniejących smug
Aż poza widnokregu zstępującego próg.

Gdzie Matka Boska Siewna w dożynnych czeka kłosach
Z rękami ziarna pełnymi, zanurzonymi w niebiosach.

Nie nakochało się lato, nie najarzyło się lato,
Nie nadyszało do słońca zieloną piersią bogatą.

A oto już odchodzi w ten dzień słoneczny i mglisty,
Gdy mleczny pył się przesiewa po drzew makacie
[srebrzystej;

Odplywa w jednej łodzi na ołowianym jeziorze
W tym stojącym rybaku, co wiosłem ołów porze.

Kraje się ciężko woda niby rola za pługiem
I opada bezsilnie w smutnym pluśnięciu długim.

POGODA

Różowe malwy, różowe zorze
I zboże – pożęte, bogate zboże.

Łagodne grody świętej pogody,
Serty płowe, bursztynowe, miodowe.

Zabłyśła pierwsza gwiazda w różowym niebie,
Granie świerszczy malw zadumą kolebie.

Gną się wiotkie kolumny różowego uśmiechu
W skwarnej ziemi wieczornym oddechu.

Nad zasłuchanym łanem wstaje pełnia księżyca,
Idzie w malwach cisza przodownica.

W bladej słomy kopice, w grody świętej pogody,
W serc różowe ogrody – w zorze, zboże i miody.

ZIARNO

Po moście złotego kurzu
Anioły zstępują do spichrza.
Szpara od blasku się zmruża,
Kurz się leciutko zwichrza.

(Gorące złote nimby
I lekkie bose stopy...
Żywiczne prześwietlone sęki,
Pachnące zbożne tchy.)

Idą po złotej belce
I, mrużąc oczy w cieniu,
Schylają się w milczeniu,
By w ziarnie grążyć ręce.

(Nagie, sypkie bursztyny,
Aniołów wiotkie palce...
Szemrzące cicho ziarno
I rozdzwoniony świerszcz.)

Obu dłońmi wazą ciężkie garście
Zaczerpnięte z mrocznego sklepiska
I w blask wnoszą, w słoneczne przepaście,
Sącząc w mrok niby złote źródliska.

(Cyt! Cyt! sypkiego ziarna...
Cyt! Cyt! dzwonnego świerszcza.,
Promienna szpara blasku
I wirujący kurz.)

Pod wiecznej rytm muzyki
Złociste słoneczniki
Swoją smukłą kręcąc pień,
Komunię słońca biorą

I kłonią się z pokorą
Wciąż głębszą z dnia na dzień.
Ich promieniste lica –
Odwieczna tajemnica
Czerpana z słońca lśnień,
Złożywszy z barw ofiary,
Śnią nagie jak zegary
Znaczące Wielki Dzień.
Bogactwem ziarn ciężarne,
Swe wielkie tarcze czarne
Schylają w chłód i cień,
By zakląć swą tęsknotę
W stokrotne oczy złote
Na Nowej Wiosny Dzień.

Płyną biali obłokowie,
Który z nich mi słowo powie,
Słowo lotne, światłe słowo,
Cichą prawdę obłokową?

Czy ten w puchach, srebrem dziany,
Czy ten w pasma półrozwiany,
Czy ten wzdęty, krągło mleczny,
Czy ten wsnuty w blask słoneczny?

Płyną, płyną modrym niebem,
Ni ich witać solą, chlebem,
Ni ich żegnać łzami, kwiatem,
Gdy tak giną poza światem.

Szepcąc słowo, światłe słowo,
Cichą prawdę obłokową,
W tchach zawiei, w snach nadziei,
Panta rhei, panta rhei...

Nów złoty rzucony w niebie
Jak skórka od pomarańczy;
Jeszcze pośliźnie się Amor,
Co w zorzy wieczornej tańczy;

Jeszcze w okrągłych obłoczkach
Pызaty się Amor pośliźnie
I kryształową amforę

Z różaną ciszą rozbryźnie...

Cicho, słonecznie, puszyście –
Trawy? Nie trawy, a liście.
Liście? Nie liście, a kwiaty,
Nie kwiaty, a blask skrzydlaty.
Nie blask, a twoje przyjście,
Moja ty, moja ty, moja ty –
Nie wiecie, nie widzieliście!

W bladym żarze
Szklą się szklarze,
Omdlewa południe
W suchym oparze.

W igliwia rżęsie
Błękit się trzęsie.
Na dyszącym piaskowisku
Jak liszka gnę się.

Pod sosnową opuchą
Wonno, skwarno i sucho.
W macierzankach strzygą świerszcze
W samiutkie ucho.

Myślę o rybach w wodzie,
O smakołykach w lodzie
I o bladych rosach rozkwitłych
W cienistym, wilgotnym ogrodzie.

Kosaćców ostry miecz,
Zielone ostrza kos –
Śmiać by się w głos, krzyczeć by w głos:
Słabości – precz!

Mam tylko wąski, zielony, sprężony rdzeń,
A przecinam świat radością zwycięskich surm!
W błękity szturm!
Nasze słońce – nasz nowy zwycięski dzień!

SNOBOM

Już mi was wszystkich dość! Chcę sobie jechać samopas,
Widzieć, jak kwitną sady, słyszeć, jak brzęczą pszczoły,
Zobaczyć błękit wiosenny i lot obłoków wesoły,
W przydrożnej karczmie za wsią zatrzymać się na popas.

Chcę dmący ciepły wiatr poczuć nad zagonami,
Usłyszeć, jak konie parskają, jak ptaki zrywają się z krzykiem,
Zjechać nad rzeki błysk, którą czerń promu płami,
I sunąć z promem het, rozmawiać z przewoźnikiem.

O rzeczonym ptactwie mówić, o trzcinie i o łożu,
O tęgiej ziemi łódzkiej i o tym, jak w niedzielę
Wozilo się tu promem i chrzciny, i wesele,
A wczoraj pogrzeb z trumną na drabiniastym wozie.

O jakże mi już trzeba popatrzeć w śmierć i w życie
Przez prosty uśmiech ludzki, przez słońce i przez wodę,
Przypomnieć sobie wszystko, co jest wieczyście młode,
Z daleka od was wszystkich, którzy mię tak nudzicie!

W gruz się walą dostojne spichrze Kazimierza,
Co gromadziły ziarno na głody i siewy;
Trzęsą sercami liści stare białodrzewy
I pluszcze w piach wiślany fala wiecznie świeża.

Na kazimierskim rynku pod zmurszałą ścianą
Zeszły się dwie staruszki i stoją pod progiem:
– Dziś obok, moja pani, był ksiądz z Panem Bogiem...
– A jakże, moja pani, był – był dzisiaj rano...

W wirydarzu klasztorным pękają kasztany
I uderzają twardo o płyty kamienne.
Słodkie jest uśmiechnięte południe jesienne,
Co takim ciepłym słońcem złoci białe ściany.

Z jednej strony rzeki jest sad i dom,
Z drugiej kościół i cmentarz.

A po rzece płynie cicho prom –
Chyba jeszcze pamiętasz?

Długi błysk, kiedy się zjeżdża do brzegu,
I wielka pluskająca płaszczyzna fal.

Konie stoją cicho w szeregu,
Przewoźnicy wołają, obłoki płyną w dal.

Nie widać nic – jest wielka płynąca wstęga,
Nad nią rybitwy jak modlitwy i sny.

Nie jesteś nigdzie – myśl brzegów nie dosięga,
Wszystko pluszcze i świeci, faluje i drży...

PROM

W pochmurną wietrzną noc zjeżdżam ku ciemnej rzece.
Na tamtym brzegu, w górze, światłami błyska dom.
„O – O –” w otchłani mroku wiatr nad wodami miece,
Z szumem zwalczanej fali zbliża się ku nam prom.

Woźnica, ja i konie z pospuszczanymi głowy
Czekamy, aż przybiwszy wryje się w mokry piach.
Załomotły głucho o drzewny burt podkowy,
Stuknęły krótko koła. Rzeka pluszcze we mgłach.

Wpływamy w nagły szum i pustkę tajemnicy,
Myśl nie dosięga brzegów, jak ich nie widzi wzrok.
Charoni, Krzysztofowie, zarzeczy przewoźnicy
Tykami gonią otchłań i nawołują mrok.

Zginęły kędyś światła czekającego domu,
Zginęła rzecz daleka, która się zwała „ja”;
Tylko łupina krucha miłosiernego promu
Na tyberiadzkich wodach czy falach Styksu trwa.

Ślepa latarka sięga. Przewozu grosz się s płaca,
Schwytany brzeg otchłani. „Bóg zapłać – zapłać Bóg!”
„O – O –” z dalekich brzegów. Prom z szumem w mrok zawraca,
I wraca „ja” zgubione w turkot ubitych dróg.

Tylko pozostał chwilę na samym dnie pamięci,
W otchłani mrocznych szumów przewozu tęskny krzyk –
Aż zmiotło go w ogrodzie muśnięcie mokrych pręci,

Że nie wiadomo kiedy w światłach przed gankiem – znikł.

BIAŁA GODZINA

I

Zszarzały klombów płomienne rabaty,
Zgasł żar nasturcji i szkarletów krew –
I nagle widać tylko białe kwiaty
Pod ścianą mrocznych drzew.

Gwiazdy zabłysły w gałęziach topoli.
W białych tytoniach krążą szare ćmy –
Pamięć nie boli i życie nie boli...
Srebrne są kwiaty i gwiazdy, i łązy.

II

Zapaliły się okna we dworze,
W białym dworze, w ganku z winogradem,
Świerszcze strzygą tak mocno – mój Boże –
Gwiazdy świecą w niebie takim bładem.

Płynie woda, płynie srebrna woda
Pod księżycem z daleka – z daleka...
Czego szkoda ci? czego ci szkoda?
Że ta rzeka – ucieka?

A jeżeli ja ciebie, jedyny,
Pokocham, pokocham na nowo,
U nóg się twoich położę
Tą jesienią gobelinową.

Roześmieję się w orzechach łuskanych,
Zacaluję w miodowych plastrach,
Zapłaczę w jaśminowych perłach
I w białych astrach.

I rozważę w ciężkich słonecznikach,
I zakrwawię w jarzębinach na strzesze,
I ziarnem z cienistych spichlerzy
Odchodzącego – rozgrzeszę?

JESIEŃ

Padają nasze słowa jak dojrzałe owoce.
Serce się już nie szamoce i piersi ci już nie druzgoce.

Odleciały. Czy nie wiesz, kiedy odleciały ptaki przelotne?
Tak ciche jak dzisiaj południe słoneczną jesienią wilgotne.

Ślizga się uśmiech sadu po zamyślonym czole...
Tyle ci pragnęłam powiedzieć, a teraz milczeć wolę.

Wolę śledzić w milczeniu tę nić babiego lata,
Co z moich rąk zaplecionych wraz z twoim spojrzeniem ulata.

Taka sama pogoda jesienna,
Choć od tamtej przeszło całe życie.
Taka sama głębia bezdenna
W jasnym błękicie.

Takie same serca skrwawione
Drżą bez wiatru na osiczyńce.
I przędziwo ciszą niesione
Pod słońce płynię.

Tylko głębsze rąk załamanie!
Tylko cięższe głowy schylenie,
Tylko szersze – Odpuść nam, Panie
I – Wieczne odpocznienie.

Na gałązce pod listkami
Szary ptaszek się kołysze
I radośnie strzyże ciszę
Błękitnymi nożyczkami.

Strzyże wszystkie moje smutki
Metalicznym dźwięcznym zgrzytem
Pod listkami i błękitem
Ptaszek szary i malutki.

Jeszcze, ptaszku, jeszcze, jeszcze
Potnij smutki, potnij zdrady,
A gdy sam już nie dasz rady,
Weź na pomoc polne świerszcze.

OKWIT

Wszystkie sady kwitnące ścięto na bramy tryumfalne.
O, jakież będą owoce, kiedy przyjdzie lato upalne?

O, nie będzie owoców! O, nie będzie czerwonych czereśni!
Nie odświeżą nam warg spieczonych – zerwane w kwieciu za wcześnie!

W białych płatkach wiśniowych zdeptanych stopą zwycięską
Wiosna naszego tryumfu jest lata naszego klęską.

Wiosna tka radośnie zielony gobelin
Wokół omszałego posągu z kamienia;
Z rezygnacji mojej zapomnianych szczelin
Wypełzają, wypełzają wspomnienia.

Lecą jak komary w czeremchowej woni,
W złotym miodzie klonów, w narcyzowej grzędzie;
Dźwięczek ich fałszywy ucho moje goni,
Leci za mną – leci za mną wszędzie.

Próżno mię osnuwasz w gobelin wiosenny,
Próżno mię czarujesz w czeremchowej bieli;
Jestem obok ciebie jak posąg kamienny,
Brzęk komara – brzęk komara nas dzieli...

Czeremchy mokre, kasztanów lepkie listki,
Podmuch wiosennych burz.
Przemienie wszystko i znów powróci wszystko –
I cóż?

Trzeba układać rymów gałazeczki skrzydlate,
Nie wstydzić się uśmiechów ni łez,
Sprzedawać wiersz wiosenny jak zieloną sałatę,
Jak bez –

WIOSNA

I

Wiosna dziś jak w kapelusz ubrała się w moje okno,
Zawiązała woalkę firanki
I patrzy nieba źrenicą błękitną, wilgotną,
Z uśmiechem spłakanej kochanki.

Ma lśniący płaszcz wiosenny: mokry jeszcze
[przeciwległy dach
I czerwone pelargonie w butonierce.
A ja stoję jak żak i wzdycham: ach!
I ręką przyciskam serce.

Bo serce mam wezbrane jak nabrzmiały pąk
[na kasztanie
Od rannej burzy tchu –
I na pęczku fijołków składam pocałowanie
Przyjmując rendez-vous.

II

Będę czekać w cukierni Ogrodu Saskiego
Na zielono kratkowanej werendzie.
Z ulicy będzie turkot, ale kurzu nie będzie,
Tylko w bluszczu wielki wróbla świergot.

Lody będą kremowe jak herbaciane róże,
Bose dzieci przyniosą tam mokre bzy,
A potem gazetę szarpnie wiatr i słońce błysnie na murze -

I przyjdiesz ty.

A jeżeli w największej, największej tajemnicy
Powiesz mi: tak –
To ci kupię – baloników kolorowych krzak,
Co kołysze się na rogu ulicy.

III

Rozdamy dzieciom ciastka, wróblom okruszyny,
Emerytom gazety, a żebrakom grosze.
Miastu damy kwiaciarek bzem kapiące kosze
I zrobimy wszystkim imieniny.

Dostaną od nas uśmiech wszyscy – chcą czy nie chcą!
Sprzedawane szczenięta zwrócimy do matek,
Wszystkie kosy od szewców wypuścimy z klatek.
Tylko – Boże kochany – co my damy szewcom?

Na podwórku – – dla dzieci ze szkółki
Wypuścimy pęk balonów – niech leci...
Błękit głęboki, białe obłoki. O, patrzcie, dzieci:
Jaskółki – jaskółki – jaskółki!

Włożyli wiosnie welon z białych akacji,
Poprowadzili na ślub.
Dywan z maków czerwonych u stóp;
Polne świerszcze dzwonią w adoracji.

A dziś w nocy przy świetle księżycy
Płaczcie, družki, konwaliowe panny!
Będzie kwitła w paprociach tajemnica
Do samej zorzy rannej.

Aż o świcie – srebrne ostrza kos
Zetną długich traw zielony włos
I oczepią lato na rozłogu
Zielonym czepcem stogu.

Gdyby nie to, że jest roześmianą dziewczyną,
To by była gałęzią kwitnącej jabłoni,
Kiedy w słońcu białe obłoki płyną
I ptactwo dzwoni.

Gdyby nie to, że jest moją córką kochaną,
To by ją wiatr pachnący w sadzie kolebał
I śniłaby sen jabłeczny w wiosenne rano
W uśmiechu nieba.

Po strzyżonym grabowym szpalerze
Chodzę deptając obcięte gałęzie.
Kwiaty świeże – nie wierzę – rany świeże.
Nożyce, pomiary, uwięzie.
Chyba wylot dalekiego błękitu,
Wylot nagły, nikły, daleki.
Na nim modrość wczesnego świtu,
Żar południa, gwiazd złote ćwieki.
Nic, tylko to okno i te ściany
Żywe, broczące, współczujące.
Nie ma kwiatów – są tylko świeże rany:
Nie urażę, nie dotknę, nie potrączę...

Nie! nie napiszę sonetu.
Ale narwę w ogrodzie astrów białych,
promienistych lekkich komet o złotym oku,
i gałęzi białodrzewu o białym aksamicie skóry na
[smutnych liściach,
i welonów gipsówki drżących jak srebrna mgła –
i włożę to w wysoki rznęty kryształ na wnętrzu
ciemnych drzwi,
by się zapatrzeć jak w strzęp gwiazdzistej drogi
[mlecznej
przesianej lotem bladych anielskich piór...

A może
w mosiężny wielki pocisk włożę
złote kule afrykanek,
brązowe tarcze słoneczników
i wysokie promieniste dzidy bladozłotych malw
i postawię je w słońcu na złotej makacie,
i będę się głośno śmiać...
Albo jeszcze – grona czerwonych jarzębin bardzo
[ciężkie
złączę z kłosami złotej pszenicy i bladego żyta,
a potem zaś orzechy leszczynowe wyłuskam i będę
[siać przez palce
długo, długo, długo...

Nie! nie napiszę sonetu.

Czasem, kiedy obwożę tramwajem
Moją pustkę powszedniego dnia,
Zobaczę nagle oczy, ludzkie oczy
Smutne i mądre – bez dna.

Zobaczę nagle ust zagięcie bolesne,
Załamane spracowanych rąk,
Bezwład ciężki jak szaruga jesienna,
Uśmiech dobry jak wiosenny pąk.

I coś nagle się zrodzi, coś błysnie,
Coś zapiekłą pustką użyźni –
I gład martwy z piersi się stoczy
W żywym westchnieniu – mój bliźni!

Nad czarną wodą latarnie,
Złote smugi.
Daj mi przeżyć, daj mi przeżyć. Panie,
Ten wieczór długi.

Taki długi wieczór, takie złote smugi,
W sercu coraz to ciszej...

W czarnych wodach,
Na złotych głębokich wschodach
Życie się moje kołysze –

Traktory – reproduktory,
Motory – akumulatory...
Paulino, Paulino, Paulino,
Nie męcz mnie – jestem chory.

Srebrne wierzby, srebrne chmury,
Srebrna woda, srebrne nury...
Paulino, Paulino, Paulino,
Już dosyć mam kultury

Chcę się pokłonić w łódce
Mięcie i niezabudce...
Paulino, Paulino, Paulino,
Czy młyn puszczają wkrótce?

Kiedy maszyna zaszczecka,
A zwierzęta zaczną filozofować,
Cóż pozostanie dla człowieka?
Paulino, mądrze to wyprowadź!

Otwórz ludziom wielkie widnokreśli
W twej wszytkoburczej przyszłości,
Bo jak nie, to będą z nich niedołęgi,
Podobne – do twoich gości.

Ach, te wrony na kępie!
Czy też ja je wytępię,
Czy nagle pożałuję
I precz stąd powędruję?

Biją w skrzydła i kraczą –
Czego one tak płaczą,
Czego mkną w wiatru stronę
Jak te liście spalone?

Stare dęby i woda –
Szkoda mi czy nie szkoda? –
Nie wiem – strach tylko zbiera,
Co na kępie umiera?

Dokąd uciec od zmory kraczących wron,
Od szarości wieczornych na niebie smug,
Od martwych luster stawu, od ciętych dróg,
Od komina fabryki złego jak szpon?

Chyba pod te kopice, blade jak miód,
Z twarzą w niebo zwróconą w milczeniu lec
I czekać białej pełni i serca strzec,
By nie pękło jak ciężki, jątrzący wrzód...

Eleganckie urocze cacko,
Zbędny mebel naszej poezji –
O sięgnij poń garścią świętokradzką,

